

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

MARZEC 2023/2

magazynhisteria.pl



ANHEDONIA
DOM MOJEGO BOGA JEST ZBUDOWANY Z ŁEZ
DUCH ZAMIECI
MÓJ WUJEK JEST TRUPEM
POŁUDNICA
RĘKA, NOGA
TEATR CIENI
WKRÓTCE BĘDĄ ICH MILIONY
WYBAWICIEL KOCIAKÓW

PM 8:18
MAR.29 2023

SPIS TREŚCI:

ANHEDONIA Michał J. Sobociński	3
DOM MOJEGO BOGA JEST ZBUDOWANY Z ŁEZ Dariusz Ludwinek	21
DUCH ZAMIECI Marcin Orliński	29
MÓJ WUJEK JEST TRUPEM Dariusz Sprenglewski	40
POŁUDNICA Emil Zawadzki	56
RĘKA, NOGA Janusz Borys	64
TEATR CIENI Aleksandra Konefał	71
WKRÓTCE BĘDĄ ICH MILIONY Adrian Iwaniak	82
WYBAWICIEL KOCIAKÓW Bartłomiej Malinowski	90

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Okładka: Joanna Widomska

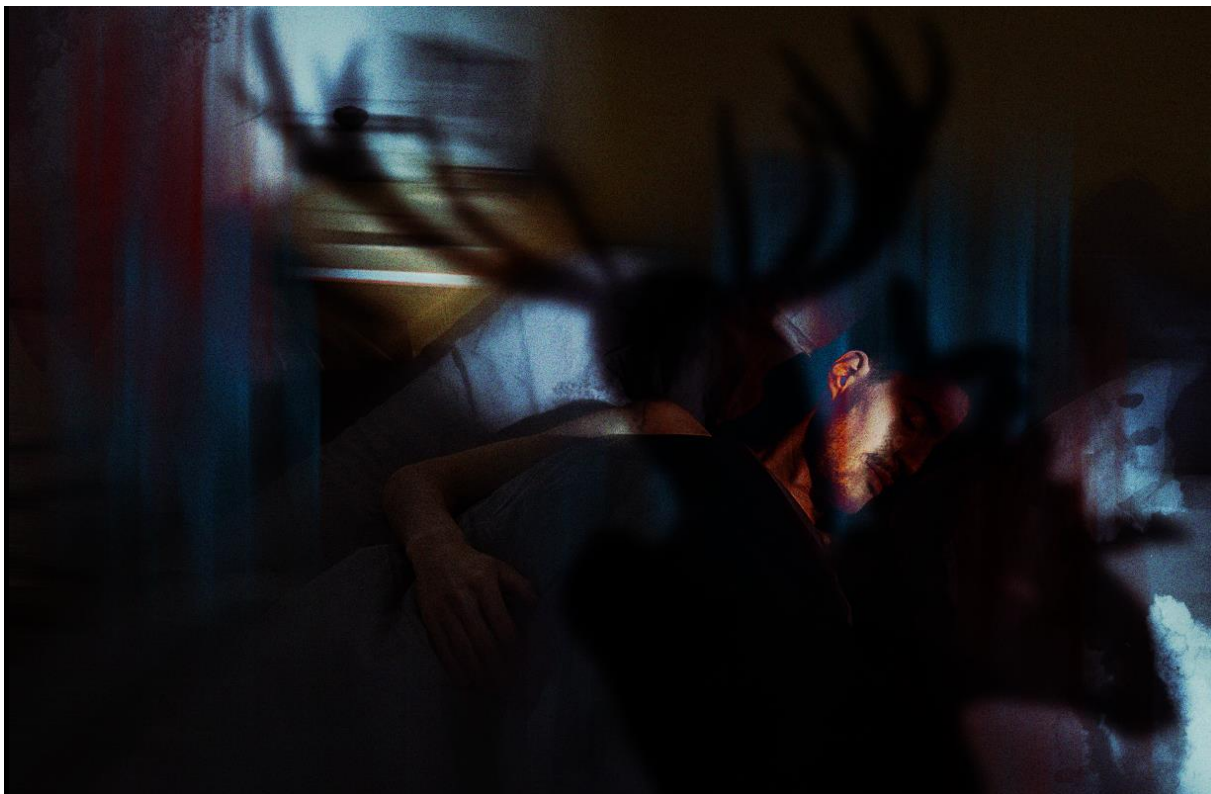
Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Ilona Bielicka, Halmar, Krzysztof Kowalik, Zvyrke

Korekta: Aleksandra Knap, Magdalena Paluch

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.



ANHEDONIA

Michał J. Sobociński

Redakcja: Bartosz Ejzak

Stara, wysłużona już z dawna jarzeniówka buczała przeciągle. Co rusz migające światło mogło irytować, ale dla Henryka Rumpelskiego, patologa ze 105. Kresowego Szpitala Wojskowego w Żarach, stanowiło element krajobrazu. Wpatrujący się w zwłoki lekarz westchnął i jeszcze raz zerknął w dokumenty.

– Jakub Oróg, nauczyciel – powiedział do stojącego obok mężczyzny.

Kojarzył go z pogrzebu syna Marciniaków, znajomych lekarzy. Nie pamiętał, jak młodemu było na imię, ale jego śmierć, czy raczej morderstwo, wstrząsnęło żarską społecznością. Mężczyzna opowiedział się nazwiskiem Ostaszewski. Nosił biały t-shirt, błękitną koszulę, jeansy i trampki. Długie dready spinał w kitkę i sprawiał wrażenie raczej mało sympatycznego osobnika.

– Uczył historii w Żaganiu – uzupełnił patolog, pukając katalogiem dokumentów w klatkę piersiową denata. – Bruzda na szyi, plamy opadowe poniżej klatki piersiowej. Lekarz stwierdzający zgon wykluczył możliwość udziału osób trzecich. Asfiksja seksualna wykluczona. Wziął i się wieszak powiesił.

Ostaszewski wpatrywał się w zakryte całunem ciało. Odkrył jego rąbek i przyjrzał się chłodnej i pustej twarzy Oróga.

– Trzydzieści trzy lata, od sześciu lat w zawodzie. Chorób przewlekłych brak. Pałący i nadużywający alkoholu, ale u belfrów to normalne. Zmagał się chyba z jakąś nerwicą, bo ma strasznie poobgryzane pazury.

– Mówił pan – odezwał się Ostaszewski zachrypłym głosem – że wykluczono możliwość udziału osób trzecich. Na jakiej podstawie?

Rumpelski zamrugał oczami i podrapał się po łysej głowie.

– Lekarz stwierdzający zgon tak orzekł.

– Pan się z tym zgadza?

– A to ważne?

– Ważne.

– To proszę popatrzeć.

Patolog ostrożnie ściągnął całun, odsłaniając nagie ciało nieboszczyka. Oróg, prócz wspomnianej bruzdy na szyi, miał zszytą klatkę piersiową.

– Chodzi o jego dłonie – powiedział Rumpelski, wskazując na czarnawą narośl na przegubach. – Nie wiem, co to jest.

– To nie cmentarne róże?

– O! – rozpromienił się patolog. – Widzę, że coś pan tam wie o plamach opadowych...

– Nie – przerwał sucho Ostaszewski. – Żona jest lekarzem, a mi się nazwa spodobała. Proszę kontynuować.

– Nie ma czego. To nie są cmentarne róże. Pobrałem próbki tej mazi. To coś dziwnego. Może jakaś substancja chemiczna? Cholera wie. Przypomina nieco nieżyt nosa, katar znaczy się. Ma jednak inną gęstość i, jak wspomniałem, skład chemiczny. Tak czy inaczej, miał to nie tylko na rękach.

Ostaszewski nie zapytał. Zerknął na lekarza i uniósł brwi.

– Oróg miał to w głowie – powiedział patolog, nawet nie próbując maskować uśmiechu.

Ścieram niedużą, białą, upośledzoną głupim rysunkiem fallusa, tablicę. Ostry zapach mazaka drażni moje umęczone zmysły, przywołując obrazy lekcji. „Początki państwa polskiego” – tak brzmiał temat. Podałem go mechanicznie, resztkami sił próbując zmobilizować uczniów do pracy. O prowadzonych lekcjach staram się zapominać. Otchłań zapomnienia przeprowadzonych zajęć, jest doskonałą higieną umysłu. Wolę nie przywoływać w pamięci powszechnego bumelanctwa, podlanego utylitaryzmem. Wolę nie wspominać słów: „A po co to nam?”, „A do czego to się przyda?”. Wolę o tym nie pamiętać.

Zerkam na zegarek. Jest punkt 15.00. Ostatni dzwonek rozbrzmiewa, a uczniowie opuszczają moją salę. Wołam za nimi puste: „Do widzenia”.

– Do widzenia – powtarzam pod nosem.

Czy ja naprawdę tego chcę? Zobaczyć się z nimi?

– Miłego dnia! – odpowiada któraś z uczennic.

Ale czy on będzie miły? Czy taki będzie?

Wsiadam do wysłużonego Audi A4 i uruchamiam radio. Banalne hity głupich bab, wzniosłe pieśni solistów, męskich na tyle, na ile nie wykastrował ich XXI wiek, kłują mnie w duszę. Jadąc obwodnicą Żagania, zastanawiam się, co by się stało, gdybym nagle, energicznie, wjechał na pobocze. Przeżyłbym? A może bym nie przeżył...

Postanawiam jednak żyć dalej. Sorry, demony słabości. Musicie jeszcze poczekać.

Dojeżdżam do Żar. Wychodząc z samochodu, lustruję betonową okolicę. Zarówno główne ulice miasta, jak i wąskie arterie tuż przy Rynku, wyglądają schludnie. Są odremontowane, pachnące nową, świeżą farbą. Na wielu z nich znać tabliczkę informującą, że w remoncie pomogła Unia. Jaka tabliczka powinna wisieć na mojej kamienicy? „Sponsorem wyglądu tego budynku jest polska bieda i uryna żula”. Byłby to trafny wybór.

Wyciągam pęk kluczy i wkładam jeden w zamek. Nim zdołałem go przekręcić, mój pies zdążył zareagować radosnym szczeknięciem. Otwieram drzwi i witam się z pchłaczem. Wilku, bo tak się wabi, robi wokół mnie kilka kółek, staje dęba opierając się o kolano i wydaje zabawny dźwięk. Szpic wilczy, ruchliwy i przyjazny pies, jest mi jedyną iskierką radości. Postanawiam wziąć piłkę i porzucać mu ją w ogrodzie należącym do wspólnoty mieszkaniowej, ale dźwięk dzwonka telefonicznego obraca wniwecz mój plan.

– Oróg, słucham – przedstawiam się zwyczajowo, gdy dzwoni nieznajomy numer.

– Dzień dobry, panie Jakubie – odpowiada męski głos. – Nazywam się Leon Zimierzak, dostałem pana numer od pani dyrektor.

Milczę.

– Organizujemy zbiórkę pomocową dla Ukrainy – kontynuuje Zimierzak. – Pani dyrektor wspomniała, że jest pan opiekunem samorządu szkolnego i...

Potem przestaję go słuchać. Fakt, opiekuję się samorządem. Fakt, młodzież wybrała mnie w tym głosowaniu. Fakt, sprawiło mi to przyjemność. Zwykle jest tak, i to jest kolejny fakt, że wszelkie inicjatywy uczniowskie muszę realizować sam, bo gówniarzom się nie chce. Zimierzak oczekuje zbiórek i jakiejś manifestacji poparcia. Mechanicznie zgadzam się na wszystko, choć nie chce mi się, Bóg mi świadkiem, jak cholera. Zgadzam się, bo jeślibym tego nie zrobił, dyrektor wydałby mi polecenie zawodowe. W ramach czterdziestogodzinnego tygodnia pracy od nauczyciela wymaga się wszystkiego. Premia? Zapomnij. Wdzięczność? Wpisze sobie to pan do osiągnięć.

– Super! – Zimierzak ucieszył się szczerym głosem. – To do jutra! Zdzwonimy się.

Rozłączając się, nie wysiłam się na żadne miłe słowo. Nie stać mnie dziś na nie.

Zastanawiam się, co zjeść. Wybierając kilka opcji, decyduję się na kebab, bo nienawidzę gotować. Składałam zamówienie przez internet i uświadamiam sobie, że nim przyjdzie posiłek, zaczną się korepetycje. Dziś, przypominam sobie, z Dawidem. Dzięki Bogu online. Nie muszę sprzątać mieszkania.

Robiąc kawę, kilka razy odganiem Wilka. Pies domaga się zabawy. Jest młody, energiczny i nieco rozpieszczony. To moja wina. W trakcie pandemii poświęcałem mu dużo czasu, a teraz... No cóż. Woda zawrzała. Zalewam kawę i przywołuję w myślach film *Dzień Świra*. Nie-nie. Psycholog radziła, bym znajdował umocowanie w rzeczywistości, nie w fantazjach. Choćby nie wiem jak przypominały mi moją własną egzystencję. Tyle pamiętam z terapii, bowiem pani psycholog była niezwykle atrakcyjną dwudziestokilkulatką i podczas spotkań skupiałem się na atutach fizycznych. Potem już nie skupiałem się na niczym innym, dochodząc zarazem do wniosku, że 70 złotych za godzinę to za dużo.

Siadam przed biurkiem i zakładam słuchawki. Wyciągam wysuwany mikrofon i uruchamiam Facebooka. Dawid znów się spóźnia na korepetycje. Ale to nie szkodzi. Jego czas liczony od 16.00 do 16.45 to jego sprawa. Przeglądam różne bzdury w sieci, aż w końcu słyszę zniechęcony dźwięk nadchodzącego połączenia na Messengerze.

– Dzień dobry – wita się chłopak. – Proszę pana, czy możemy powtórzyć czasy, te... No...

– Past simple i past continuous? – podpowiadam, bo wiem doskonale, o co mu chodzi.

Dawid jest w czwartej klasie technikum i niebawem będzie miał maturę. Cóż, to miłe że chce przypomnieć sobie podstawy. Chuja tam. Ten młody cymbał bimbał sobie przez cały

okres szkolny i nagle się obudził. Zbliżały się matury i ledwie dorosły dureń poczuł swąd palącego się gruntu pod nogami. Tak jak niegdyś ja. Może dlatego zostałem nauczycielem? Do niczego innego się nie nadaję. Odtwarzanie wiedzy i pobieranie za to wypłaty. To ci dopiero. Nieźle to sobie starożytni wymyślili.

W słuchawkach usłyszałem najpierw pisk, a potem trzask.

– Dawidku? – przerywam wypowiedź ucznia. – Mógłbyś powtórzyć?

– Kuolema... on... parasta... väsyneelle... sielulle...

– Czekaj, cholera – warknąłem. – Chyba jakaś fińska reklama mi się uruchomiła w tle.

Zerknąłem na okno przeglądarki. Nie otworzyłem żadnej innej karty prócz Dysku Google, którego używam jako bazy notatek.

Nagle poczułem zapach padliny. Tak, padliny. Coś jakby wzięło i umarło mi tuż pod stopami. Przenikający odór rejestruję zaledwie przez ułamek sekundy. Potem rozwiewa się w niebycie. Łypnąłem karcąco na Wilka, a ten spojrzał na mnie tymi swoimi dużymi, piwnymi oczami. Znalazłem winnego.

Minął wyznaczony czas, a Dawid jeszcze nie dokończył zadania. Kusi mnie, by doliczyć mu dodatkowych pięć złotych, ale resztki przyzwoitości biorą górę.

– Dziękuję, do przyszłego tygodnia – żegna się uczeń i momentalnie rozłącza.

Nie odpowiadam.

Za piętnaście minut mam kolejne zajęcia. Trzeba zarabiać.

Rozwody są przecież drogie.

Zostałem wrzucony w brutalny świat rutyny. Moja rzeczywistość rozpoczynała się o godzinie 6.30, a kończyła około 1.00 w nocy. Zawsze śpię jak dziecko. Nie mam problemów z zaśnięciem, nic mnie nie dotyka, nic mnie nie stresuje. Nic nie sprawia mi radości. Nic mnie nie zasmuca. Jestem niby muszla, którą jakiś skorupiak postanowił porzucić. Leżę na dnie mrocznego oceanu, z rzadka targany niewidocznymi pływami. Wszystko, co robię, jest powtarzalne. Brud toczący mój ocean rzeczywistości zwykł okrywać, a w efekcie połykać wszelkie przebłęski piękna. I trwam tak, pozwalając, by świat decydował za mnie. Nie mam obiekcji, gdy zalewa mnie gnojem z fabryk codzienności. Zbywam obojętnością dostojne, kolorowe i zdawałoby się nieśmiertelne meduzy cnót.

Mam wszystko gdzieś.

Przyszła niedziela. Zrobiłem sobie kawę i poczułem lekkie burczenie w brzuchu. Postanowiłem zjeść kilka płatków owsianych na sucho. Nie chce mi się zalewać ich zimnym mlekiem. Potem zamówię sobie pizzę albo kebab. Nie chce mi się gotować. Nic mi się nie chce.

Zerkam na leżące opodal papiery rozwodowe. Są podpisane od przynajmniej tygodnia, ale nie miałem czasu ich wysłać. Przynajmniej tak sobie wmawiam. Nie robię w zasadzie nic, nie mam czasu na nic. Od poniedziałku do piątku praca, po południu korepetycje, wieczorami pijaństwo. W weekendy tylko pijaństwo i okazjonalne wyjście ze zwierzętami do parku. Z psem, rzecz jasna, i małpką. Na ogół o smaku pigwy.

Z zamyślenia wyrwał mnie dźwięk struny. Ukulele wybrzmiało przeciągle, a ja prawie połknąłem swój język. Wszedłem do pokoju i zerknąłem na leżący na drukarce instrument. Drukarka, jak większość stojących przedmiotów w licej kawalerce, służyła mi za półkę. Piętrzące się na niej książki nie mogły wprawić struny w drganie. Nie wiedząc, co uczynić, postanowiłem w odpowiedzi szarpnąć za inny sznur. Dźwięk rozlał się po pomieszczeniu przyjemnym, choć nieco infantylnym tonem. Nic się nie stało, więc odrzuciłem niedorzeczną myśl. Odwróciłem się i poszedłem do kuchni.

Kilka następnych godzin przegrałem. Gry komputerowe pozwalają mi na ucieczkę myśli. Gdzieś do świata wyobraźni, opisanego przez scenarzystów, wykreowanych przez młodszych ode mnie ludzi, mających ciekawą i wartościową pracę. Nie tak jak ja. Bo niby co ja daję swoim uczniom? Idiotycznie usprawiedliwiany przymus szkolny jest niezłym żartem w XXI wieku. Internet mógłby skutecznie zastąpić szkołę, gdyż chcący się uczyć, rozwijać – bla, bla, bla – mogliby robić to sami. Rzesza podobnych mi wypaleńców jest zbędna. No ale co taki nauczyciel miałby robić innego niż nauczanie? Może pójść do fabryki? Zająć się własnym biznesem? Dzięki ci, Fryderyku Wilhelmie, wredny i cholerny Prusaku, za obowiązek szkolny.

Około godziny 20.00 wyszedłem z Wilkiem z domu. Przeszliśmy przez górną część ulicy Śródmiejskiej, zaś na Placu Przyjaźni dokonałem stosownego zakupu. Dziś pigwa i wiśnia. Tę drugą opróżniłem pod sklepem. Ruszyłem ku Parkowej prowadzącej, a jakże, do parku. Na wysokości szkoły, tak zwanej Samochodówki, stało się coś dziwnego. Wilku nagle zatrzymał się. Opuścił kręcony ogon i zerknął na mnie spode łba.

– Co jest, gościu? – rzuciłem. – Chodź dalej, mały bałwanie.

Pies stawiał się i nie chciał kontynuować spaceru. Wtem poczułem dziwne znużenie. Senność w zasadzie. Nagle resztki chęci, raczej luźno trzymające się mojej umęczonej duszy, opuściły mnie. Winą obarczyłem wiśniówkę, ale przecież alkohol nigdy nie działał na mnie

w ten sposób. Przynajmniej nie w takich godnych pożałowania ilościach. Po którejś z prób w końcu ciągnę psa siłą. Gdy minęliśmy Samochodówkę i dotarliśmy na skrzyżowanie, Wilku w końcu podniósł ogon i poszedł w kierunku przejścia dla pieszych. Co mu tam strzeliło do łba? Może poczuł to, co ja, i się wystraszył?

Odgoniłem głupie myśli i wyciągnąłem telefon. Zadzwoiłem do Romana, starego kumpla, urzędnika miejskiego prowadzącego prosty, acz barwny żywot mieszczucha. Nie odbierał.

– Pewnie siedzi w klubie – burknąłem do siebie.

No tak, pomyślałem. Niedziela jest, mają spotkanie. Nic to. Potem oddzwoni. Wybieram numer do matki, ale rozmawiam z nią tylko chwilę. Na pytania o rozwód głupio się śmieję i stwierdzam, że nic mi nie jest. A jest. Rozejście z żoną boli jak diabli. Nie umiem dojść do siebie, mamo. Mój wewnętrzny ogień został ugaszony słoną wodą łez. Polot i werwa zostały zdławione niezliczoną hordą małych demonów pożerających mą duszę. To, co niegdyś miało smak, straciło go bezpowrotnie. Resztki dumy i godności zamieniłem na obrzygany kibel, gdy przy weekendzie za dużo wypiję. Miłe wypady do knajpy na obiad transmutowały w samotne wpięprzanie kiełbasy z cebulą.

– Naprawdę wszystko jest w porządku – kłamię. – Muszę wysłać papiery i idziemy na ugodę w sądzie.

– A co z psem? – pyta rodzicielka.

– Wilka nie oddam. On jest mój i...

Rozmowę przerywa mi gardłowy śmiech kilku osób. Spoglądam na stary, niski budynek, zaniedbany od kilku lat. W półmroku wieczora majaczy kilka postaci. Niskich, niższych ode mnie.

Młodzież, domyślam się. Naćpana gówniarzeria zażywająca ostatnich chwil weekendu. A może dopiero go rozpoczynająca? Nie, zaraz...

Ich sylwetki zdają się rozmywać w niewyraźne smugi. Podobne złowrogim pasmom głębokiej czerni, przemykały wzdłuż ścian obskurnej architektury. Znow poczułem znużenie i niemoc. Spojrzałem na Wilka i zauważyłem, że ponownie spuścił ogon i patrzy na mnie spode łba.

– Kuba? – odezwał się głos w słuchawce.

Nie, to nie słuchawka. Nie trzymam telefonu przy uchu. Boże nieistniejący, co się dzieje?

– Kubuś? – Tym razem był to głos matki. – Wszystko w porządku? Pytałam, czy wpadniesz jakoś w tygodniu.

– Co? – Odchrząknąłem. – Nie, mam. Znaczący, wszystko okej. A czy wpadnę, zobaczymy.

Znów zerknąłem na tańczące cienie. Zniknęły, a Wilk znów stał się pogodnym, zainteresowanym tym, co w trawie piszczy, psiakiem.

Po czwartej lekcji do mojego gabinetu niby piorun kulisty wpadł jakiś facet. Nie poznałem go od razu, ale przedstawił się nazwiskiem Zimierczak. Wtedy poczułem niepojętą chęć na kawę. Po irlandzku.

Leon Zimierczak był wysportowaną mężczyzną, nieco starszym ode mnie. Biła od niego świetlista aura, sprawiająca, że jeśli człowiekowi się nie chciało, to mu się zachciało. Przykładowo: mnie zachciało się wspomnianej kawy. Wchodząc do mojego gabinetu, Zimierczak już od progu wystawił rękę na powitanie. Cóż miałem uczynić, jeśli nie uśmiechnąć się i nie ucisnąć podanej dłoni?

– Panie Jakubie – zaczął z wymalowanym uśmiechem – przepraszam, że wczoraj nie dzwoniłem, ale wie pan, niedziela. Czas z rodziną, odpoczynek, takie tam.

– Rozumiem, nie szkodzi.

Przez następny kwadrans rozmawialiśmy o zbiórce pomocowej dla Ukrainy. Zimierczak poprosił o zorganizowanie szkolnej akcji. Uczniowie mieli przynieść z domu suchą żywność. Posegregowaną względem kategorii. Ubrania, najlepiej nowe, również posegregowane. Środki czystości, też oczywiście posegregowane, najlepiej lepszej jakości. Podczas tej wyliczanki korciło mnie, by poprosić Zimierczaka o posegregowanie kroków w kierunku wyjścia i przemyślenie sprawy na nowo, a na koniec dojście do wniosków najlepszej jakości. Jak zwykle w myślach byłem wyjątkowo wyszczekany. Lata praktyki obcowania z żoną nauczyły mnie, by oddawać riposty, choćby te najlepsze, otchłani mej upadłej duszy. Toteż odpuściłem. Zryw narodowej pomocy trwał i nie wolno było zadawać pytań. Na niechęć i pogardę przyjdzie czas później.

– To będzie wspaniała akcja – snuł dalej Zimierczak. – Młodzież dzięki temu nauczy się, że warto pomagać, że sąsiad też człowiek.

Dobre sobie, pomyślałem. Większość młodzieży, z którą przyszło mi pracować, niechętnie pali się do czegokolwiek. Lubią spędzać czas w social mediach, nagrywać i oglądać idiotyczne filmiki lub śledzić afery współczesnych gwiazdek.

– Z całą pewnością – zgodziłem się bez przekonania.

Zimierczak musiał wyczuć mój ambiwalentny ton. Z jego ust zszedł kretyński uśmieszek. Wskazał na drzwi.

– Przerwa się chyba kończy – powiedział po odchrząknięciu. – Na mnie pora.

Skinąłem mu głową na pożegnanie. Jednak łapiąc za klamkę, odwrócił się i pomachał w górze paluchem, jakby sobie o czymś przypomniał.

– A wie pan – podjął – że w tej klasie, znaczy: w tym gabinecie doszło do dwóch morderstw?

– O.

– Ano, tak było – ucieszył się mężczyzna, widząc moją żywą reakcję. Na tyle żywą, na ile pozwoliły mi resztki endorfin.

Podszedł do biurka, przy którym pracuję i wskazał na nie palcem.

– Nie tyle morderstw, ile w zasadzie jednego morderstwa – poprawił się z absurdalnie szczerym uśmiechem. – W tym miejscu został zastrzelony nauczyciel historii. Wdał się w romans z żoną pewnego żołnierza z Żagania. Żołnierz, gdy się o figlach dowiedział, wpadł do tej klasy i strzelił belfrowi w klatkę piersiową. To było jakoś za komuny. Przepraszam, ale nie pamiętam dat.

Milczałem.

– Drugi przypadek był też dziwny – kontynuował Zimierczak. – Polonistka. Nagle odwróciła się na krześle i dostała choroby sierocej. Wie pan, zaczęła się kołysać, a potem płakać i śmiać. Podobno było to upiorne. Nauczycielkę zabrano do szpitala na obserwację, a potem popełniła samobójstwo.

Tak na dobrą sprawę nie słuchałem Zimierczaka. Te, bez wątpienia okropne, historie wypowiadał z promiennym uśmiechem, przywodzącym na myśl uśmiech prezentera telewizyjnego z którejś ze śniadaniówek.

– To straszne – odparłem, mając na myśli raczej własne przemyślenia.

– Ano, straszne – potwierdził z niekłamanym uśmieszkiem.

– To hm... Do widzenia? Jesteśmy w kontakcie.

Niepoczyszony Zimierczak zaraz zmarkotniał i skrzywił gębę. Uścisnął mi dłoń i poszedł precz.

Wtedy, o dziwo, zrobiło się jakoś przyjemniej. Jednak ochota na kawę po irlandzku pozostała.

Czwartek przyszedł niespodziewanie, choć wskazywał na niego bieg kalendarza. We wtorek dostałem powiadomienie o czwartkowej radzie pedagogicznej. W środę o niej zapomniałem, by w czwartek – powiadomiony przez innych nauczycieli – pełen irytacji, udać się na spotkanie. I jak zwykle wynudziłem się okropnie. Poruszane sprawy, pewnie że ważne, obchodziły mnie tyle, co zbliżający się śnieg. Nie mogłem się skupić, nie mogłem oddać większej części zainteresowania aktualizacjom statutu, nowym pomysłem starostwa i ministerstwa, raportowi z kuratorium... Nie za te pieniądze. Przynajmniej tak sobie tłumaczyłem.

Gdy wróciłem do mieszkania, Wilk powitał mnie z wyrzutem. Nie miałem mu tego za złe. Za szczeniaka rozpieszczaliśmy go z żoną i teraz źle znosił moją nieobecność. Wypuściłem go na dwór w celach wiadomych i zauważyłem, że trawnik rosnący nieopodal mojej kawalerki zasłużył na strzyżenie. Niby nie należał do mnie, tylko do wspólnoty mieszkaniowej, ale to ja zajmowałem parter, więc w opinii mieszkańców to do mnie należały obowiązki ogrodnicze.

Chuj im w dupy, leniwa patologia.

Westchnąłem w duchu, gdy przypomniałem sobie, że nie mam kabla do kosiarki. W mieszkaniu czekała na mnie sterta naczyń do umycia, więc wybrałem gorsze zło. Podjechałem do Castoramy i kupiłem kabel. Po otwarciu drzwi Wilk powitał mnie zwyczajowym wyciem i machaniem ogona. Nagle zaprzestał radosnego tańca i zaczął warczeć.

– Co jest, mały? Nie poznajesz mnie?

Nie ja byłem obiektem warknięć i krótkich szczeków. Pies rzucił się na świeżo zakupiony przewód i zaczął go gryźć.

– Uspokój się, pchlarzu! – krzyknąłem.

Było to na nic. Gdy uniosłem zwinięty sznur ku górze, Wilk dostał wręcz napadu złości. Ta szybko przerodziła się w żalony pisk.

– Chryste, panie... Dobra, zostaniesz w domu. Ja mam robotę.

Otworzyłem drzwi od komórki, w której trzymam narzędzia i westchnąłem.

Boże, jak mi się nie chce, pomyślałem.

Kilka razy zerknąłem w okno i widziałem Wilka skaczącego po parapecie. Nie miałem pojęcia, co go nagle ugryzło. Zwykł być dobrze ułożony. Pewnie, że natarczywie żulił o jedzenie. Jasne, że na ulubionych gości reagował zbyt emocjonalnie... Zaraz. Jakich gości?

Chyba od roku nikt mnie nie odwiedził. Odgoniłem natrętne myśli i zerknąłem na dwa rowery. Kupiłem je niegdyś z żoną, by urządzić wycieczki. Do tych nigdy nie doszło.

Zrezygnowałem z koszenia. Zamiast tego poprzerzucałem kilka worków z nie wiadomo czym. Po co? Nie wiem. Może szukałem czegoś, co żona zostawiła tu, a ja mógłbym jej oddać... Nie, cholera, to głupie. Cicho. Potem schowałem znienawidzony przez Wilka kabel do jednej z zagraconych półek. Kiedy wchodziłem do mieszkania, pchlarz przywitał się ze mną, jakby nie widział mnie co najmniej miesiąc. Potargałem jego sierść za uchem i ciężko westchnąłem.

– Chyba zasłużyłem na piwo, co?

Wilk w odpowiedzi zamrugnął. Gdyby mógł, pewnie zwróciłby mi uwagę, że jest czwartek.

– Jedno? Masz rację. Jest czwartek. Kupię cztery.

Po zakupach włączyłem grę i szybko wypilem pierwsze piwo. Drugie wypilem, gdy gra mi się znudziła i zacząłem przeglądać internet. Trzecie do idiotycznego serialu na Netfliksie. Czwarte wyłopałem bez powodu.

Znalazło się i piąte. Wypilem z ochotą. W końcu jutro piątek.

Mój sen zakłócił paskudny zapach. W pierwszej chwili winą za smród obarczyłem Wilka. Zdarzało mu się załatwić w domu. Druga chwila przyniosła skojarzenie, że przecież nie tak cuchną psie odchody. Śmierdziało coś, jakby rozkładało się tu zdechłe zwierzę. Otworzyłem szerzej oczy. Przyzwyczajony do ciemności wzrok nie zarejestrował otwartego okna, skąd mógł pochodzić przykry zapach. Pozostając na granicy maryl i snu, rozejrzałem się po zatopionej w mroku kawalerce. Wilk oddychał miarowo, młaszcząc raz po raz. Wtedy przeniosłem mętne spojrzenie na fotel, na którym zwyklem przegrywać wolny czas. Służące za wieszak oparcie fotela nosiło ciężar mych ubrań. Wtem zaskrzypiało.

Zaraz...

Nim zdołałem przedsięwziąć cokolwiek, struna ukulele drgnęła, wydając przeciągły dźwięk, jakby ktoś przesuwiał po niej palcem. To mnie otrzeźwiło. Wzrok wyostrzył się, niby potraktowany oselką nóż. Zauważyłem, że to nie odzież zajmowała miejsce na fotelu, a jakaś...

Istota?

Smród się zintensyfikował, a ja wrzasnąłem. Głos powinien rozprzestrzenić się po kawalerce, jednak miałem wrażenie, że pozostał tylko w mej głowie. Fotel znów zaskrzypiał, struna instrumentu ponownie zagrała tęskny dźwięk. Nie mogłem się poruszyć.

– To paraliż senny, to paraliż senny – racjonalizowałem sytuację.

Było to na nic. Istota wstała z miejsca, z głośnym akompaniamentem trzeszczącego mebla. Zauważyłem smukłą sylwetkę pozbawioną owłosienia. Głowa tego czegoś przystrojona była nierównomiernym porożem i przywodziła na myśl chropowatą, ohydną rozgwiazdę. Wydała mi się na swój sposób ludzka, ale zrewidowałem swój pogląd, kiedy dostrzegłem brązową skórę i liczne kurczaki uwydatnione wpadającym do środka światłem latarni. Widząc groteskową posturę, mój umysł zaczął odpływać w odmęty szaleństwa. Nagle zdało mi się, że istota coś do mnie powiedziała. Nie rozumiałem jej. Przynajmniej nie w taki sposób, w jaki zwykłem się porozumiewać z ludźmi. Rozpoznałem uczucie... Nie, nie uczucie. Przebłysk. Dozę. Sparafrazowany sentyment żalu, jaki przybysz żywił w stosunku do mnie. W jednej sekundzie otrzymałem od tego horroru majak współodczuwania. Ból, trapiący mnie za dnia, stał się łżejszy. Metaforyczny głąz zalegający na mej piersi zamienił się w złocisty piach. Absurd zastanej sytuacji ustępował pod naporem ognistych podmuchów bezpiecznego ciepła. Bezkresna pustka, gęstsza od smolistej rozpacz, przez którą leciałem w dni powszednie, rozbłysła srebrzystym światłem, a ja...

Zaraz, cholera, co jest?!

Otrząsnąłem się i zarejestrowałem, że przybysz usiadł na skraju mego łóżka. Zrobiło mi się gorzej, ale nie od towarzyszącej istocie smrodu. Mimo ohydneho wyglądu niespodziewanego gościa, odoru rozkładających się ciał i jego upiornego, bladożółtego spojrzenia, poczułem się błogo.

Usnąłem.

Otwierając leniwie oczy, zlustrowałem otoczenie. Wilk sterczał już koło łóżka i merdał ogonem.

– To był sen, człowieku – wychrypiałem do siebie. – Tylko sen. Paraliż. Odłóż chłanianie na tydzień, a wszystko wróci do normy.

Wstaję, myję gębę, zęby, nie jem śniadania, wypijam kawę. Wsiadam do auta, jadę do szkoły. Kolejny rutynowy dzień. Odbębniam lekcje, wracam do domu. *Home, creepy home.* Domu? Nie. Mieszkania. Ja tu tylko mieszkam. Dom kojarzy się z ciepłem, a mi jest cholernie zimno tej jesieni. Wilk jak zwykle domaga się uwagi i zabawy. Nie mam na to czasu.

Złapałem się na uczuciu, że w zasadzie chciałoby mi się z nim wyjść na spacer, ale cóż. Korki. Trzeba zarabiać.

Lekcja z Dawidem tym razem mija szybko. Chłopak, głupek patentowany, oczywiście nie błyskał intelektem, ale to w istocie nie moja rzecz. Nie zda, to nie zda. Zamówi kolejne lekcje.

Zbliżał się wieczór, a Wilk patrzył na mnie z nadzieją. Zdziwiłem się, że uczucie bezsilności, zwykle ogarniające mnie przed spacerami, tym razem nie towarzyszyło mi choćby w najmniejszym stopniu. Ubrałem psa szelki, przypiąłem je do smyczy i pewnym krokiem ruszyliśmy do oazy wytchnienia, krynicy spokoju... Słowem: monopolowego.

Po tym, jak zakupiłem dwie małpki, poszliśmy do parku. I tym razem Wilku w pobliżu Samochodówki zaczął się bocyć. Przystając w miejscu, zerkał na mnie spode łba, jakby się czegoś bał. To mnie nieco zdenerwowało, ale przypomniałem sobie, że pies w ostatnim czasie w ogóle był kapryśny.

Może przez to, że go zaniedbuję, pomyślałem. Muszę to zmienić. W końcu tylko on mi został. Tylko z nim mogę porozmawiać.

– Tylko z nim? – usłyszałem miły głos gdzieś w przestrzeni.

Odwróciłem się raptownie i rozejrzałem. W mrocznej alejce prowadzącej do okolicznych kamienic dostrzegłem jedynie błakającego się żula. Poszukiwacz metali szlachetnych był na tyle daleko, że nie mógłbym go usłyszeć, jeśliby coś mruczał pod nosem. Nie uważałem również, by usłyszany szept mógł należeć do niego.

Musiało mi się przesłyszeć, snułem w myśli.

Wilk nie chciał kontynuować spaceru, dlatego wziąłem go na ręce i przenieśliśmy przez długość ulicy Parkowej. Gdy minąłem Samochodówkę, uspokoił się i począł obwąchiwać każdy krzak.

Zwyczajowo obdzwoniłem znajomych oraz matkę. Żadne z nich nie odebrało połączenia. Docierając do wzniesienia, szczyt którego zdobiła zgrabna altanka, poczułem dziwny zapach. Odór rozkładu drażnił nozdrza, ale szczególnie nie dziwił. Park był duży, zwierzyny w niej brakowało, ale nocami okoliczny element zwykł załatwiać gdzie popadnie prywatne sprawy. Może to odchody tak śmierdziały? Nie byłem pewien.

Docierając na sam szczyt, uchwyciłem wzrokiem tańczące cienie. Zerknąłem przez ramię, by sprawdzić źródło tego dziwnego zjawiska. Rozświetlona okolica w istocie mogła płatać figle oczom. Zwłaszcza tym, które nie tak dawno widziały opróżnione dno buteleczki.

Taniec cieni ustał. Zatrzymały się w miejscu, ja zaś podszedłem bliżej ściany altanki. Pchała mnie tam jakaś dziwna siła. Niewytłumaczalna energia, zapraszająca mnie w odmęty szaleństwa. Kusząca poznaniem nieznanego...

Zaraz, cholera!

Widma oderwały się od drewnianych ścianek i skoczyły w moją stronę. Opętany przerażeniem, wrzasnąłem i poślizgnąłem się na wilgotnej trawie. Straciwszy równowagę, upadłem i wypuściłem z dłoni smycz. Wilk też musiał przerazić się tańczących widziadeł, pognął bowiem w zapadający z wolna mrok. Na nic się zdały me nawoływania.

Pośpiesznie wstałem, rozglądając się gorączkowo. Nim upiorne kształty zniknęły na dobre, zauważyłem, że rozmywały się, niby papierosowy dym smagany podmuchami wiatru. Z grozą skonstatowałem, że psa nie ma nigdzie wkoło.

– Wilku! Wracaj! Noga! – wołałem rozpaczliwie.

Odetchnąłem z ulgą, gdy wyłonił się zza krzaka. Wzrok miał zbity, wystraszony. Podszedłem do niego ostrożnie, chwyciłem smycz i przytuliłem.

W drodze do domu kupiłem czteropak piwa. Jeszcze przed ściągnięciem butów w domu rozpracowałem pierwszą puszkę. Zasiadłem przy oknie, wpatrując się w postępującą, gęstą ciemność. Złapałem się na tym, iż trwałem tak przez około dwie godziny, bezwiednie opróżniając kolejne piwa.

Zapłakałem gorzko.

Jestem beznadziejny. Alkohol i frustracja przeżerały mój umysł do reszty. Żona miała rację, nazywając mnie zakompleksionym, małym człowiekiem. Ja zaś broniłem się przed oskarżeniami, ale... miała rację. Jestem mały, zły, na ogół pijany. Nie umiem i nie umiałem nigdy niczego praktycznego, dlatego zostałem nauczycielem. Zamiast wziąć się za siebie, wolę popaść w stan hibernacji. Konserwuję, to co we mnie najgorsze, tłumiąc wszelkie odruchy, by obrać ścieżkę ku dobru. Beznadzieja wzięła w końcu górę, a ja oddałem swój umysł szaleństwu, personifikującemu się jako nocne koszmary i widziadła na jawie.

– Zostałeś mi tylko ty.

Wilk podniósł uszy, słysząc mój głos.

Zaśmiałem się tępo. Pies. Substytut relacji międzyludzkich. Upadłem naprawdę nisko, bez wątplenia. Chwycona przeze mnie brzytwa pokaleczyła mą duszę, a ja dalej tonąłem.

Boże mój... Czemuś mię...

Wtem rozbrzmiał dźwięk struny. Natychmiast zerwałem się z krzesła, wywracając puste puszkę na podłogę. Odwróciłem się raptownie w stronę krzesła, gdzie tamtej nocy widziałem tę istotę. Przybysza.

– *Olen täällä sinua varten.* – Usłyszałem delikatny, niemal aksamitny głos.

Tym razem przybysz nie pojawił się, ale czułem jego obecność. I wtedy stało się coś, czego w zasadzie się spodziewałem. Ból zniknął. Ten głos, pochodzący najpewniej od odpychającego monstrum, kołł mnie. Lał balsam na ropiejące rany. Słodził gorzki smak życia. Usuwał łyżkę dziegciu z pasieki mego istnienia.

Usnąłem, nie doczekawszy niczego innego.

Rozbudziły mnie promienie jesiennego słońca, walczącego, zdawałoby się, do samego końca z nadchodzącą listopadową chandrą. Toczący mnie od dłuższego czasu weltszmerc uleciał, jakby rozpląnął się w blasku wpadającego przez szyby światła.

Czułem się dobrze.

Wypuściłem Wilka na dwór i zaparzyłem sobie kawy. Przewalające się przez niebo chmury raz po raz zasłaniały słońce, sprawiając, że przedpołudniowy pobrzask wyglądał zaprawdę błogo.

Wyszedłem na skromne podwórko. Wszechogarniająca betonoza nagle przestała mnie drażnić. Zauważyłem, że między kostkami brukowymi wyrastają źdźbła trawy. Ta nierówna walka z kamiennym najeźdźcą wzruszyła mnie. Zauważyłem drobne kwiatki polne na lichym trawniku. Nie zdążyły jeszcze zwiędnąć, zasnąć przed zbliżającą się zimą. Dziełnie, rzekłbym: heroicznie wystawiały małe, białe lub żółte główki ku słońcu, ścigając się z wysoką trawą.

Znakomitego nastroju nie potrafiła mi zepsuć nawet myśl o niewykonanym obowiązku. Prozaiczna sprawa, musiałem skosić trawę. W innym wypadku zatruwałbym myśli i pomstował na nierówny trawnik, ale dziś było inaczej. Dokończyłem pić kawę, przebrałem się w roboczy strój i włożyłem do kieszeni pęk kluczy. W drodze do komórki, gdzie trzymam wszelkiej maści kłopoty, towarzyszący mi Wilk zaczął głośno szczeleć.

– Cicho bądź, kulko pcheł – fuknąłem na psa.

Ten zignorował mnie, jak miał w zwyczaju, gdy go dyscyplinowałem.

Trochę mi zeszło na mocowaniu się z kłódką. Kiedy drzwi od komórki stanęły otworem, Wilk wbiegł do środka i rozpoczął okropnie głośną serenadę. Warki i szczekanie były skierowane do kabla zakupionego wczoraj.

– Dziwne – mruknąłem do siebie. – Nie podoba ci się?

Zwykle, gdy Wilk bał się jakiegoś przedmiotu, przystawiałem go bliżej jego nosa, by mógł go powąchać. Uspokajał się wtedy, lecz teraz było inaczej. Wyszczrzył kły i chwycił przewód. Wystraszyłem się. Nigdy nie widziałem, by mój pies ugryzł z nienawiścią cokolwiek lub kogokolwiek. Odłożyłem kabel, wziąłem Wilka na ręce i zaniósłem do domu. Z lodówki wyciągnąłem dobrze schłodzone piwo, by umilić sobie czas przy pracy.

Koszenie trawy poszło sprawnie. Wypiłem obiecaną nagrodę i ku własnemu zdziwieniu stwierdziłem, że następnego nie chcę. Zrobiłem sobie herbaty i zachciało mi się imbiru. Obiecałem sobie w duchu, że podczas następnej wizyty w sklepie go kupię.

Zasiadłem przy małym stole w niewiele większej kuchni i wyciągnąłem zaległe kartkówki. Pełen skupienia, niedoświadczanego od dłuższego czasu, poświęciłem na pracę kilka godzin.

Byłem doprawdy zdumiony.

Zegarek wskazał, iż wybiła północ. Nigdy nie byłem przesadnie zabobonny, ale nie wyobrażałem sobie lepszej pory na to, co planowałem. Minuta po północy. Przyszła niedziela. Dzień pański. Dzień odpoczynku.

Podszedłem do drukarki, na której leżało ukulele. Przyglądałem się chwilę instrumentowi, zaś Wilk począł cicho skamleć.

– Co jest, piesku? – mruknąłem. – Nie bój się. Już niebawem wszystko będzie dobrze.

Pchlarz zwiął do łazienki, uchylając nosem drzwi.

Szarpnąłem pierwszą strunę. Nic. Potem drugą. Też nic. Uderzenie w trzecią i czwartą również nie przyniosło niczego zaskakującego. Postanowiłem się poddać, kiedy poczułem dławiący mnie smród. Ledwo powstrzymałem wymioty. Przerażony pies przybiegł do mnie i przykleił się do mojej nogi, skamlać i warczać naprzemiennie. Ostrożnie uchylłem drzwi od łazienki i zobaczyłem go. Istota była wyższa ode mnie. Na jej wątle, groteskowe ciało nawleczona była niezdrowa skóra koloru jesiennej trawy. Kilka nocy temu widziałem go po ciemku, lecz teraz przyjrzałem się dokładniej. Ohydne odnóża, rogi chyba, koronujące głowę potwora, falowały delikatnie, niby muskane nieistniejącym wiatrem. Trwało to okamgnienie,

ale zerkając w jego ślepią, przyszło mi na myśl, że to coś musiało być niegdyś człowiekiem. Stał nieruchomo, wpatrując się we mnie niebieskimi ślepiami, a ja przeraziłem się. Wiedziony naturalnymi odruchami, przyklęknąłem na kolano i przytuliłem psa. Wilk schował swój pyszczek w moją prawą pachę. Jego warczenie ustąpiło delikatnemu popiskiwaniu. Bał się, tak jak ja.

Ale z każdą sekundą wpatrywania się w to ohydne oblicze jak na przekór odczuwałem coraz większą ulgę. Znow to, co złe i okropne, zaczęło zanurzać się w błogim sosie. Ponownie poczułem ciepło i bezpieczeństwo, za którym byłem niemo każdego dnia. Na powrót wszystko było dobrze.

Zaraz. Nie. To nie tak. To nie jest realne. Przybysz nie podarował mi tych uczuć. Nie, nie. To się nie dzieje. To znaczy wiem, że stoi przede mną, ale to, co odczuwam w tym momencie, nie ma wiele wspólnego z teraźniejszością. Potęgający się w mej jaźni stupor owinał mnie niby delikatne włókna jedwabiu. Wewnętrzna, słodka idylla kusila i zapowiadała rychłe od niej uzależnienie. A potem brutalne zerwanie. Nie, nie chcę tego tracić, a on, istota, obiecuje mi pozostać z nią na zawsze.

– Przyczyna zgonu? – Ostaszewski otarł zmęczone oczy.

– Nie słuchał pan?

– Tak średnio, bym powiedział.

– E, aha. – Rumpelski skrzywił się nieładnie. – Powiesił się na kablu w komórce stojącej na terenie kamienicy, w której mieszkał.

– O zdarzeniu poinformowali sąsiedzi, tak?

– Tak. – Lekarz pokiwał głową i spojrzał na nieboszczyka. – Pies denata zaczął przeraźliwie głośno szczekać w środku nocy.

– To dziwne. Mogę zapalić?

– Tak. Znaczący nie. Tu nie wolno palić.

Ostaszewski wyjął wymiętą paczkę papierosów. Włożył jednego do ust i podpalił.

– Chce pan? – zaproponował.

– No, niech będzie – uległ Rumpelski. – Dziękuję. Wspomniał pan o czymś dziwnym. Co miał pan na myśli?

– Samobójcy zwykli kończyć ze sobą w absolutnej samotności. Obecność psa jest dziwna. Nie pasuje do schematu.

– Może, może. – Rumpelski zaciągnął się papierosowym dymem. – A ta maź w głowie i w dłoniach? To dziwne nie jest?

– Jest.

– To jak by pan to wytłumaczył?

Jan Ostaszewski prędko dopalił papierosa i rzucił peta na podłogę. Przydeptał niedopałek i westchnął.

– Nie jestem lekarzem, chemikiem, biologiem ani Bóg jeden wie, kim jeszcze – stwierdził ochrypłym głosem. – Co się stało z psem?

– Naprawdę to teraz takie istotne?

– Nie, ale jestem ciekawy.

Rumpelski rozłożył ręce ze zrezygnowaniem. Irytował go policjant. Nie wyglądał zresztą na niego. Wylegitymował się, o ile tak można by nazwać machnięcie odznaką przed oczami, i zadawał dziwne pytania.

– Przyjęła go jakaś rodzina, nie znam nazwiska. Na szczęście mają hodowlę tej rasy, więc będzie tam pasował.

– Tak, na szczęście – mruknął Ostaszewski. – Będę się zbierał. Jeszcze jedno doktorze.

– Tak?

– Nie raportujcie o tej, jak raczyliście się wyrazić, dziwnej substancji w ciele nieboszczyka.

– Słucham? – Zdziwiony Rumpelski zamrugnął kilkakrotnie.

– Dla dobra śledztwa – ciągnął mundurowy – i własnego bezpieczeństwa.



DOM MOJEGO BOGA JEST ZBUDOWANY Z ŁEZ

Dariusz Ludwinek

W kościele śmierdziało. Czuł to coraz intensywniej przy każdej wizycie. Echo zamykania ciężkich drzwi niesło się po ogromnej, zatęchłej świątyni. Wilgotnej. Chłopak raz oblizał całkowicie moką kolumnę marmuru – była gorzka i cierpka. Z dziwną fascynacją przyglądał się tym murom, które chciały jakby wypocić coś ze swojego wnętrza.

Zbliżała się Wigilia Bożego Narodzenia i religijne napięcie stawało się nie do wytrzymania. Księża, czerwoni na ściśniętych przez koloratki twarzach, biegali, tupiąc miarowo w wytarte posadzki i zahaczając wiernych. Ci klęczeli. Leżeli. Wyczerpani postem i oczekiwaniem.

Konrad nie chciał dołączyć do tego pędu. Do kościoła wypychała go matka. Na samą myśl o ścisisku w świątyni pocił się niesamowicie i to przy minus dziesięciu stopniach na zewnątrz. Idąc ulicą, świątynia w oddali wydawała mu się zwiewna, miękka. Kolejne listopadowe i grudniowe niedziele były dla niego koszmarem dziwności.

Bił ją w myślach. Bił aż do końca. Aż do kości. Do podłogi. Kiedy wracała jaźń, bolały go zaciśnięte pięści. Nabuzowany zwyzywał matkę od najgorszych i wychodząc z domu, trzasnął drzwiami. Ochłonął dopiero w kościelnej ławie. Jak zwykle było niezwykle parno. Poczł dziwny zapach.

Szepty z tyłu.

– Ksiądz Mateusz jest ciężko chory. Widziałam go po wieczornej mszy. Ledwo szedł. Mówią, że nie dotrze na pasterkę.

Na kazaniu chłopak spojrzał na konfesjonał przy prawej ścianie kościoła. Czerwona lampka nie świeciła się, ale ktoś siedział w środku całą mszę. Kusiło go, żeby podejść tam po błogosławieństwie, nawet chwilę poczekał, ale w końcu zrezygnował. Postać dalej siedziała, kiedy wychodził z ławy.

– Czuję tam tylko strach. To nienormalne. To chore – mówił do matki.

– Ty jesteś chory. Nieczysty. Wypowiadaj się, pomódl. Pomoże.

Był jedenasty grudnia. Śnieg sypał dniami i nocami, a mocny mróz sprawiał, że ludzie mieli drętwe twarze. Znów żarł się z irytującą kobietą, która go utrzymywała, mimo że mógł już żyć samodzielnie. W bocznych ławach przyglądał się Jezusowi wiszącemu wysoko nad ołtarzem. Jak wszyscy w kościele był mokry, kapiący. Zdawał się roztapiać i spływać po krzyżu. Plama w stajence. Plama w świątyni. Krew wypływająca z boku zlała się z tą ciecżą, a Bóg po swojej prawicy nie miał nic.

Znów znęcał się nad nią w myślach. Czuł wstyd, że wyobraża sobie to podczas mszy świętej, a z drugiej strony strasznie go to nakręcało. Z mokrych dłoni wyleciał mu różaniec. Matka wciskała mu go do kurtki przy każdej okazji. Szelest zwrócił uwagę kilku osób, w tym młodej dziewczyny. Ich oczy spotkały się i zatrzymały na dłużej. W środku cały już płonął.

Wychodząc, dziewczyna szybko precyzyjnie się do niego w zwartym, dusznym tłumie. Pachniała kwaśno i ostro. Na zewnątrz pociągnęła go za rękę i zaprowadziła do bocznej świątyni Najświętszej Maryi Panny. Bez słów zaczęła lizać go po twarzy i szyi. Sparalizowanym chłopakiem, który nigdy nie był tak blisko z dziewczyną, zawładnęło pożądanie. Kwaśny zapach nasilał się. Jego nozdrza paliły, a ślina z języka młodej kobiety zostawiała bolesne, swędzące ślady. Otrząsnął się na chwilę i uświadomił skalę grzechu. Oparci o ołtarz, o złote poręcze podtrzymujące życia i dusze tysięcy wiernych, dokonywali bezczeszczonego aktu. Uklęknęła przed nim i rozpięła mu spodnie. Zaraz miała zacząć się kolejna msza. Nie wiedział, co robić, odebrało mu mowę. Kiedy poczuł jej usta, cały wygiął się do tyłu, patrząc do góry nogami na wizerunek świętej dziewicy. Płakała, wylewając żal jego czynu. Co zrobi matka, jeśli się dowie?

Zanim spojrzał na dziewczynę w seksualnym transie, dostrzegł przez witrażowe okienko nadchodzącą, ciemną masę ludzi. Przerazony odepchnął nieznajomą, która miała czarne od pożądania oczy. Jej twarz zdawała się rozpuszczać. Krzyk przerażenia został w ścianach małej, bocznej świątyni, kiedy on nakładając spodnie, biegł już bocznymi ścieżkami koło bram kościelnych. Zamroczony wpadł na kogoś z całym impetem. Obalona ciężko postać jęczała i próbowała wstać, brodząc w błotnistym śniegu, który topniał tylko w okolicach kościoła. Konrad znów poczuł dziwny zapach, ale tym razem jeszcze intensywniejszy. Pobiegł dalej, słysząc za sobą zniekształcone dźwięki. Głos leżącego w jednym momencie był słaby i cienki jak u dziecka, by za sekundę brzmieć jak dzikie zwierzę. Chłopak biegł i biegł czując, jak z każdym metrem podłoże twardnieje, a on mimo wysiłku wychładza się.

Modlił się tej nocy bardzo żarliwie. Nigdy tak nie wierzył. Pytał Boga na głos, ale nie dostał odpowiedzi. Matka głośno chrapała w drugim pokoju. Miał chore myśli i wiedział, że opowiedzenie jej tego, co się wydarzyło, nic nie da.

Rozmawiał ze sobą, z jakąś częścią w środku, która wiedziała, że w kościele dzieje się coś dziwnego. Nie chciał tam wracać, ale z drugiej strony nigdy nie czuł czegoś takiego – pełni życia, tajemnicy. To przyciągało. W rozmyślaniach dotarł bardzo daleko, w mroczne czeluści i wilgotne ogrody. Pełne pocałunków. Pełne odciętych uszu. Spacerował po nich, szukając

czegoś, coraz bardziej tracąc cierpliwość. To on trzymał teraz nóż i stał nad śpiącą matką. Dłoń w impulsive zaskoczenia wypuściła ostrze, które lecąc w dół, raniło kobietę w głowę.

Próbował to wytłumaczyć w domu pokrywanym się czerwienią. W karetce. W sali szpitalnej. Matka w końcu odpłynęła pod wpływem morfiny, a on skruszony i skulony siedział przy niej, kiwając się na trzeszczącym krzeselku. W końcu zasnął. Obudził go dźwięk powolnego szurania ze szpitalnego korytarza. W drzwiach salki, oświetlona słabym światłem lampki nocnej, kuśtykała groteskowa, powyginana i drobna postać. Poruszała się o kulach, a wszystkie jej kończyny zdawały się kierować w inne strony. Głowa mężczyzny była nienaturalnie wykręcona, a oczy miał zapadnięte i dzikie. Podszedł powoli do Konrada, który w otępieniu nadal wpatrywał się nieruchomo w dziwnego gościa. Był to ksiądz Mateusz.

– *Dziecko, dziecko* – mówił bardzo powoli, oddychając płytko pomiędzy słowami. – *Gdybyś tylko posłuchał Matki, byłaby zdrowa. Gdybyś tylko nie uległ pokusie dziewczyny, nie zostałaby ukarana. Gdybyś tylko nie stratował mnie, uciekając przed grzechem. Ślepy. Zupełnie ślepy. Nie pomogłeś, kiedy ja brodziłem tam, jak ranione zwierzę.*

Duchowny ledwo stał, chwiejąc się w paralitycznym tańcu. Chłopak nie mógł na niego patrzeć. Jego twarz... była płynna.

– *Bó... on ci tego nie wybaczy. Nie zbliżaj się do mojej świątyni. Zabijeś. On tego nie odpuści. Spójrz tylko, co zrobiłeś własnej rodzicielce* – powoli podniósł rękę, która pod czarnym materiałem sutanny miała kształt gałęzi.

Konrad szybko odwrócił się w stronę leżącej, z której głowy wystawał wbity nóż. Jakaś siła wbijała go powoli w czaszkę. Trzask pękających kości i syk rozrywanych tkanek. Kiedy zerwał się z krzesła, nagle stał obok niej i jeszcze mocniej dociskał ostre narzędzie.

– *Przecież o tym myślałeś w bocznych ławach. O zabiciu matki i o nieczystościach* – głos księdza stał się bardzo obcy.

Ostrze przebiło na wylot. Miętko. Mokra.

Czerń przeistoczyła się nagle w naturalne światło dnia.

– *Chłopcze, ocknij się.*

Ktoś szarpał go delikatnie za ramię. Świtało.

– *Mama ma się dobrze, ale ponoć z Tobą nie najlepiej* – stał przed nim postawny mężczyzna w czarnym ubraniu. – *Jestem ksiądz Artur. Nie znamy się.*

Rozmawiali długi czas. Ksiądz opowiedział chłopakowi, że zna jego matkę jeszcze z czasów szkolnych.

Konrad poczuł, że może się bardziej otworzyć. Zresztą wiedział, że i tak nie ma wyjścia. Opowiedział księdzu o ostatnich wydarzeniach, pomijając chore, brutalne myśli i erotyczny epizod. *To nie spowiedź* – myślał. Czuł zrozumienie w milczących oczach Artura, a ten zastanawiał się chwilę.

– *To brzmi jak... nie. Wyspowiadaj się chłopcze. Zacznij od tego. Ja... Ja od jakiegoś czasu unikam tej świątyni. Tobie polecam to samo, choć pewnie brzmi to dziwnie z ust księdza.*

Spowiedź odbyła się od razu, a klęczący Konrad bał się wyznać najcięższych grzechów. Zrobił to jednak, chcąc być fair wobec Boga i licząc, że ten jakoś zakończy trwający koszmar. Kiedy o nich mówił, ksiądz Artur mocniej ścisnął poręcz krzeselka. Chłopak dostrzegł, że duchowny chciał coś powiedzieć, ale milczał, walcząc z samym sobą. Ze swoją duszą. Znak krzyża zakończył sakrament, ale Konrad nie czuł niczego, żadnej ulgi.

Wychodząc, zobaczył dziwne ślady na podłodze sterylnego, szpitalnego korytarza. Przyspieszył kroku i skierował się prosto do domu. Postanowił zostać w nim całe święta i poczekać aż matka dojdzie do siebie. Bał się, bo wiedział, że mimo bezpieczeństwa, mimo zamkniętych drzwi i czystej modlitwy, to wszystko może wrócić, na czele z powyginaną karykaturą człowieka o zmiennym głosie. Próbował wszystko analizować, ale zawsze docierał do kolejnego niewytłumaczalnego punktu, który szybko odganiał, bojąc się, że postrada zmysły. Rozgrzewało go wspomnienie chwil z dziewczyną, by za chwilę gęsia skórka pokryła jego ciało na myśl o jej dziwnych oczach i twarzy. Docenił matkę. W końcu myślał o niej bez obrzydzenia, martwiąc się i przeczuwając, że zostanie sama w tym trudnym świecie.

Pewnej nocy dom zaczął mówić. Trzeszczeć. Stukać. Słyszał szepty, rozmowy. Szaleńczy śmiech. Budził się cały mokry i targały nim dreszcze. Zmarznięty kulił się na łóżku i nasłuchiwał z przerażeniem diabelskiego szeptu, głosu, gwaru. Nie mógł tego wytrzymać. Był pierwszy dzień świąt. Ubrał się i poszedł do świątyni.

Kościół przyciągał go do siebie. Tłumy wiernych – radosnych, pełnych miłości ludzi – szły razem z nim. Pomyślał, że matka byłaby zachwycona. Przyszliby tu razem, a potem, po mszy

i celebracji narodzin Jezusa Chrystusa, w domu rozmawialiby, jedli, cieszyli się. Jak rodzina. Jak matka z synem.

Wchodząc na plac przed świątynią, poczuł znajome, przyjemne ciepło. Jego ciało, całe wnętrze odbierało coś niesamowitego. Coś... dobrego. Księża żwawo pędzili ku drzwiom kościelnym. Wszystko lśniło celebracją. Nigdzie nie widział księdza Mateusza. Coś zabłysło lekko zaraz przy ogrodzeniu. W pierwszej chwili był pewien, że to jakaś ozdoba. Podeszedł w kierunku dziwnego światła i uświadomił sobie, że jest niedaleko małej świątyni, w której grzeszył z dziewczyną. Padający gęsto śnieg topniał od razu po dotknięciu błotnistej ziemi.

Nie zostałyby ukarana. Słowa dobiegały niby z wnętrza ziemi.

Źródłem ledwie widocznego światła było coś małego na ziemi. Podniósł złoty pierścienek z wyraźną barwą brązu i czerwieni. Kiedy spojrzał dalej, ku ogrodzeniu, zrozumiał usłyszane przed chwilą zdanie. Na kupie liści, gruzu i innych śmieci, leżało powyginane, rozczłonkowane ciało ludzkie. Rozpoznał w niej dziewczynę, z którą uprawiał seks. Coś blokowało jego krzyk, reakcję, ponowną chęć ucieczki. Tylko dokąd? Obok rozkładającego się już ciała leżały duże bele drewna, przesiąknięte bordowym kolorem liny i zardzewiałe gwoździe. Podeszedł kilka kroków – jej nadgarstki były przebite na wylot. Nie miał odwagi odsłonić jej twarzy, przykrytej przez liście i ciemne, posklejane włosy. Przepraszał ją w duchu, żałował i jednocześnie nie mógł powstrzymać grzesznego wspomnienia, nawet kiedy widział umęczone truchło niedawnej, pierwszej kochanki. Wzdrygnął się i poczuł wzmożone ciepło tego miejsca. Nie zrobił nic, tylko odszedł spokojnie.

Kościół w środku pękał od tłumów i wylewał z siebie jeszcze więcej cieczy. Topniał w oczach. Chłopak patrzył na zdobione sufity, które zdawały chwiać się, tracąc podporę nienakładających kolumn. Wierni powoli się rozbierali. Ołtarz lśnił teraz oślepiająco – mokre srebra, mokre złota, relikwie święte rzucające prawdziwy blask nie z tej ziemi. Znowu spojrzał na prawo w konfesjonał, w którego ciemni ktoś się ukrywał. Czerwona lampka nad miejscem pokuty zaczęła jaśnieć, kiedy tylko na nią patrzył. Ktoś go nawoływał. Podczas niezrozumiałego kazania wstał, podeszedł do konfesjonału i uklęknął przy krzasiastym okienku.

– Szczęść Boże. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Nikt nie odpowiedział z drugiej strony.

– Ostatni raz spowia...

– U księdza Artura – przerwał mu głos zza kraty.

To był głos księdza Mateusza. Konrad miał w środku dziwny spokój, który go zaskoczył. Poczul, że nadal nie jest czysty, godny, odpowiednio odwodniony. Jego ubranie było już w większości mokre, a ciało zdawało się kurczyć i mięknąć.

– *Zraniłem serce Pana Jezu...*

– *Nie jesteś w miejscu Twojego Pana* – ton księdza się zmienił.

– *A gdzie jestem?* – Obojętność wywołana zmęczeniem dodała chłopakowi odwagi.

– *Nie odpuszczę Ci grzechów. On nie odpuści Ci tych grzechów. Są śmiertelne. Twój Bóg Ci wybaczył, ale mój... nasz nie* – duchowny syczał niczym wąż, szepcząc przerażająco.

Konrad poczul jakiś dotyk z tyłu. To ksiądz Artur. Stał obojętny, nagi, a jego ciało rozpływało się niczym topione tysiącami stopni Celsjusza. Zaczął napierać na chłopaka, który próbował się zasłaniać. Zszokowany spojrzal na swoje ręce - były już tak kruche jak wilgotne gałązki. Do księdza Artura dołączyło kilku innych wiernych bez ubrań i ci również wciskali się do ciasnego konfesjonau. Chłopak czul już tylko zwiększający się nacisk śmierdzącej skóry, kości i resztek mięśni. Zmniejszał się z każdą sekundą, czując uciekającą świadomość i coś jeszcze.

– *To twoja dusza* – głos zza krat konfesjonau był zniekształcony, diabelski. – *Pożegnaj się z mamusią, wyznawco Jezusa.*

Doznał szoku, kiedy okazało się, że najmocniej dociska go naga matka. Miała inną twarz – jakby dwie połączyły się w jedną. W połowie była to dziewczyna, którą znalazł przy ogrodzeniu kościoła. Czul, że jego drobne i zwiewne ciało przeciska się przez kratki konfesjonau. Bezboleśnie. Trwało to jednocześnie sekundy i wieki. Z każdą chwilą tracił jaźń, która ostatnim rzutem myśli poczuła żal. Ogromny żal. Coś go mocno szarpnęło, rzuciło nim. Temperatura wyraźnie wzrosła, a kiedy nagi, w pełni zdrowym ciele otworzył zlepione czymś oczy, leżał na parzącej ziemi pełnej popiołu i zgliszczy. Zapach siarki gryzł go w gardło, odbierając tlen. Czul, gdzie jest. Strach był setki razy silniejszy i zwał z nóg. Wiedział, że będzie go już czul wiecznie. I ból. I rozpacz. Tęsknotę i... żal. Zapłakał gorącą krwią, krzycząc słowa, których nikt żyjący nie miał już usłyszeć.

Za jakiś czas w dębowej, kościelnej ławie usiadzie młoda kobieta. Popatrzy w stronę konfesjonau, gdzie czerwone światełko będzie świecić mocniej niż zazwyczaj. Obawia się spowiedzi. Kropla potu zaczyna powoli spływać po jej czole, a z jej ust podczas modlitwy

wylatuje wilgotna para. Zbliża się Wielkanoc, a świątynia mimo mroźnego początku marca, płonie już w oczekiwaniu na kolejnych wiernych.



DUCH ZAMIECI

Marcin Orliński

– Cześć, tu Ala. Nie mogę teraz odebrać. Zostaw wiadomość po usłyszeniu...

Joanna rozłączyła się. To już jej trzeci bezskuteczny telefon do siostry. Nagrała się za pierwszym razem, więc nie było sensu robić tego ponownie. Niepokoiło ją, że nikt nie odbiera.

Jej mąż, Piotrek najwyraźniej wyczuł te obawy, bo odezwał się:

– Niepotrzebnie się martwisz. Pewnie znowu gdzieś zapodziała komórkę. Wiesz, jaka jest twoja siostra. Wyślij jej chociaż SMS-a, to odbierze, jak tylko znajdzie telefon.

Chociaż mówił spokojnym tonem, wyczuła, że też się trochę denerwuje. Znała go w końcu od lat, potrafiła rozpoznać nawet drobne wahania jego nastroju.

– Poza tym, mają przyjechać dopiero jutro popołudniu. Rozmawiałem z Jędrkiem

wczoraj, więc to potwierdzone.

– Dodzwoniłeś się do niego?

Piotrek pokręcił głową.

– Jest poza zasięgiem albo rozładował mu się telefon.

– Może powinniśmy poczekać na nich w domu? Albo chociaż gdzieś po drodze?

– Chyba żartujesz! – rozzłościł się Piotrek – Nawet nie próbuj. Zaraz będzie zamieć, na pewno nie dojedziemy. A poza tym, nie wiemy, jak daleko... – zrobił pauzę, po czym dodał cicho, jakby bał się, że ktoś go usłyszy: – to coś potrafi się zapuścić. Będziemy niepotrzebnie ryzykować. Do jutra się rozpozodzi i będziemy mogli wrócić, zanim się pojawią. Wszystko będzie w porządku.

Słowa męża brzmiały rozsądnie. Sama pamiętała, że siostra ze szwagrem mieli przyjechać dopiero w sobotę. Teoretycznie nic nie powinno im grozić. Nie mogła jednak pozbyć się wrażenia, że coś będzie nie tak. Po prostu czuła, jak ciarki przechodzą jej po plecach i nie było to spowodowane wyłącznie styczniowym chłodem.

Wszystko zaczęło się parę lat wcześniej, zaraz po tym, jak wprowadzili się do nowo kupionego domku w Wichrowej. Długo szukali jakiegoś lokum położonego w górach, bo pulmonolog zalecił Joannie zmianę otoczenia.

Na krótko po jej ślubie z Piotrkim Joannę zaczęły dopadać ataki kaszlu, szczególnie zimą, gdy powietrze było ciężkie od smogu. Co prawda w Krakowie mało kto dobrze znosił wszechobecne spaliny, ale jej przypadek był szczególnie ciężki. Niby spędziła większość życia w tym mieście, ale nagle, niemal bez ostrzeżenia, jej organizm przestał tolerować tę całą chemię zalegającą dookoła.

Zdarzały się takie dni, że ataki kaszlu trwały bez przerwy ponad godzinę. Parę razy trafiła nawet do szpitala.

Lekarze tylko bezradnie rozkładali ręce. Nie byli w stanie ocenić, co jej dokładnie dolega. Alergia – sugerowali jedni. Astma – diagnozowali inni. Wszyscy jednak zgadzali się co do jednego – Joannie pomogłaby przeprowadzka gdzieś, gdzie jest czystsze powietrze.

Razem z Piotrkim długo szukali odpowiedniego miejsca. Znaleźli parę ofert, ale przy ich ograniczonym budżecie nie mogli sobie na nie pozwolić. Inne z kolei były położone zbyt blisko miasta, więc było ryzyko, że powietrze nie będzie tam dość czyste.

Przez kilka miesięcy Joanna czuła strach, codziennie obawiając się, że dopadnie ją

jeden z gwałtownych ataków kaszlu. Starła się w ogóle nie wychodzić z mieszkania, chyba że naprawę musiała.

W końcu jednak szczęście się do nich uśmiechnęło. Znalazł się tani domek, który odpowiadał ich wymogom. Co prawda musieli wziąć na niego kredyt – w końcu się jeszcze nie dorobili – ale uznali, że było warto. Stan Joanny ciągle się pogarszał, nie wiadomo, ile jeszcze by wytrzymała.

Nowe lokum było wprost idealne. Położone głęboko w górach z dala od źródeł smogu. Joanna wreszcie mogła odetchnąć pełną piersią. Jediną wadą było to, że wszędzie było daleko. Dom tylko formalnie przynależał do gminy Wichrowa, ale faktycznie był oddalony od miasteczka o jakieś dziesięć kilometrów, a do najbliższego sąsiada mieli kilkaset metrów. Nic dziwnego, że cena była taka niska. Każda wizyta w sklepie była więc prawdziwą wyprawą, ale szybko zdążyli się przyzwyczaić do sytuacji.

Położenie nie kolidowało z ich pracą. Joanna zajmowała się malowaniem obrazów, więc nie musiała zbyt często wyjeżdżać z domu. Otoczenie było natomiast idealnym źródłem inspiracji. Jej plenery sprzedawały się dobrze jak nigdy dotąd. Sprzedażą zajmowała się jej znajoma, która prowadziła w Krakowie galerię sztuki. Zwykle odwiedzali ją z mężem raz w miesiącu, by podrzucić nowe prace. Te krótkie wizyty w mieście Joanny mogła jakoś znieść.

Piotrek pracował przy tłumaczeniach, więc większość pracy mógł robić zdalnie. Na szczęście połączenie z Internetem mieli dobre, więc nie narzekał na problemy ze zleceniami. Czasem tylko zdarzało się jakieś, które wymagało wyjazdu do klienta, ale okazjonalne nieobecności męża nie były zbyt wielkim obciążeniem. Na co dzień mieli siebie nawzajem bez żadnych przeszkód. Widywali się częściej niż przeciętna para, która pracuje na etat, więc nie mieli powodów do narzekań.

Parę miesięcy po przeprowadzce przygarnęli ze schroniska kundelka o imieniu Neron. Okazało się, że psiak wyrósł na całkiem spore zwierzę i szybko przywiązał się do nowych właścicieli. Od tamtego czasu, nawet pod nieobecność męża, Joanna nie czuła się samotna.

Stopniowo udawało im się spłacać kredyt zaciągnięty na zakup domu, a nawet co miesiąc odłożyć trochę oszczędności. Wydawało się, że nic nie zepsuje tej sielanki.

Aż do pewnego zimowego wieczora.

To było niecałe dwa lata po tym, jak się wprowadzili do Wichrowej. Tego roku śnieg spadł wcześniej, niż zwykle. Zdarzały się dni, gdy pokonanie zasp zalegających na drodze było nie lada wyzwaniem. Na szczęście Piotrek przewidział, że górskie warunki nie zaliczają się do lekkich, więc sprawił sobie auto terenowe, co prawda używane, ale wystarczająco

zdawało egzamin.

Właśnie zapowiadała się szczególnie ciężka śnieżycą. Na niebie zgromadziły się czarne burzowe chmury. Jeszcze nie zaczęło padać, ale już teraz widoczność była naprawdę kiepska. Zrobiło się ciemno, jakby zapadła noc, co jakiś czas rozjaśniana jedynie przez rozbłysk błyskawicy, która ryła bruzdę na horyzoncie, by po chwili zgasnąć i znowu pogрузić ich w ciemnościach. Za każdym razem, gdy to się działo, Neron zanosił się ujadaniem, jakby ktoś czał się za progiem.

– Dziwne, wydawało mi się, że zimą burze się nie zdarzają – zastanawiał się Piotrek. – Mam tylko nadzieję, że korki nam nie wysiądą.

Zaraz po tym, gdy wypowiedział te słowa, rozległo się łomotanie do drzwi. Joanna zerwała się z krzesła przestraszona. Praktycznie nikt tu nie przyjeżdżał, nawet listonosz wiadomości zostawiał w skrzynce, która była spory kawałek drogi od domu. Dlatego ten z pozoru zwykły dźwięk zaniepokoił ją. To pewnie dlatego, że się odzwyczaiłam od odwiedzin – wyjaśniła sobie w myślach.

– Halo! Państwo Graczyk, jesteście tam? – Zza drzwi rozległ się przytłumiony głos. – To, ja Sławiński, Rafał Sławiński. Otwórzcie proszę.

Joanna szybko się opanowała. Rozpoznała ten głos. Sławińscy byli starszą parą, która mieszkała samotnie w sąsiednim gospodarstwie, o ile odległy o kilkaset metrów budynek można było nazwać sąsiednim. Znali ich słabo, ale ich domek był tuż przy drodze do miasteczka, więc siłą rzeczy mijali go dość często. Sprawiali wrażenie całkiem sympatycznych, chociaż ze względu na różnicę wieku nie mieli z nimi zbyt wiele wspólnych tematów do rozmów i nie utrzymywali zażyłej znajomości.

– Już idę! - odpowiedział Piotrek, po czym dopadł do drzwi i zaczął siłować się z zamkiem. Nie wiedział, dlaczego sąsiad do niego przyszedł, ale przy takiej pogodzie nie chciał nikogo zostawiać na dworze.

Gdy tylko otworzył drzwi, pan Sławiński wpadł do mieszkania. Sapał ciężko, jakby biegł przez całą drogę. Pochylił się i oparł dłonie o uda, przez chwilę stojąc w tej pozycji i ciężko dysząc.

– Może pan usiądzie? – zaproponował Joanna. – Zrobimy panu ciepłej herbaty albo czegoś innego do picia.

– Bardzo przepraszam, ale nie będę miał czasu – odparł tamten, nadal ciężko oddychając – Żona jest chora i muszę ją zabrać do szpitala.

Znowu zrobił pauzę na zebranie oddechu, po czym kontynuował:

– I ja właśnie w tej sprawie. Samochód mi nie chce odpalić, a zaraz będzie śnieżycą

i karetka nie dojedzie, zanim drogi zasypie. Panie Graczyk, podwieziecie nas do szpitala? Normalnie bym nie prosił, ale boję się o jej zdrowie. Obiecuję, że jakoś się odwdzięczę.

Piotrek nie potrzebował więcej wyjaśnień. Dobrze rozumiał, co to znaczy martwić się o chorą małżonkę, więc nie zamierzał zostawiać znajomego w potrzebie.

– Nie trzeba niczego w zamian. Musimy sobie w końcu pomagać. Zaraz odpalam auto i się zbieramy.

– Mógłby pan zabrać ze sobą żonę? – zaproponował sąsiad. – Moja Ela zrobiła się strasznie nerwowa i nie wiem, czy zdołam ją uspokoić. Kobiety zawsze lepiej dogadują się w takich sprawach. Poza tym, w taką wichurę strach byłoby jej pewnie samej zostawać w domu...

Piotrek spojrzał pytająco na Joannę.

– Oczywiście chętnie pomogę pańskiej małżonce – zgodziła się. Celowo nie powtórzyła imienia pani Sławińskiej, bo nie była pewna, jak dokładnie się nazywała. Mąż zawsze nazywał ją Elą, ale nie była pewna, czy to skrót od Elżbiety, Elizy czy innego imienia, a nie wiedziała, czy nazywanie jej tak przez kogoś spoza rodziny nie byłoby uznane za grubiaństwo.

Sąsiad odetchnął z ulgą, słysząc odpowiedź. Gdy ubierali się, szykując do wyjścia, zapytał jeszcze:

– A co z psem? Zapowiada się ciężka zameć, szkoda tak zwierzaka zostawić.

– Popilnuje domu. Ogrzewanie ma włączone, karma jest wyłożona w misce, więc nic mu nie będzie. Poza tym, do szpitala raczej nie wpuszczają zwierząt, więc nie bardzo jak mamy go zabrać.

– Może to i lepiej – Rafał wymruczał pod nosem tak cicho, że ledwie go dosłyszeli.

Wtedy prośba o zabranie psa trochę zdziwiła Joannę, ale była zbyt przejęta tym, że coś może się stać sąsiadce, żeby o tym rozmyślać. Dopiero pół godziny później, gdy byli już w drodze do szpitala, zastanowiło ją, że zachowanie sąsiada było trochę nietypowe, ale zdecydowała się nie drażyć sprawy. Gdyby to był ktoś inny, mogłaby posądzić go, że działa w zмовie z jakimiś złodziejami, dla których chce wywabić lokatorów z domu.

Sąsiedzi wydawali się jej jednak zbyt miłymi ludźmi, żeby coś takiego zrobić. Poza tym, jadąc do miasta i tak mijali ich dom, więc nie musieli się uciekać do żadnych sztuczek, by sprawdzić, czy nikogo nie ma w środku. Uspokajała się, że jakby ktoś się włamał, to będą wiedzieli, kogo podejrzewać, a do tego w domu został Neron.

Zanim dotarli do miasta, sypnęło śniegiem tak, że ledwo było cokolwiek widać, a Piotrek musiał mocno zwolnić. Teraz bardziej niż złodziei Joanna bała się, czy nie wjadą

w jakiś rów. Pasażerowie też wydawali się bardzo przejęci. Ledwo udawało się jej uspokoić żonę sąsiada.

Na szczęście dojechali bezpiecznie na miejsce, a po obserwacji lekarz stwierdził, że pani Elwirze – w końcu poznała jej imię – nic poważnego nie dolega i zalecił, by się nie przemęczała. Rzeczywiście, niemal zaraz po przybyciu do szpitala poczuła się dużo lepiej.

Ponieważ było już późno, a do tego strasznie padało, noc spędzili w pobliskim motelu. Jazda w szalejącej zamieci nie wydawała się bezpiecznym pomysłem. W ramach wdzięczności Sławińscy pokryli koszty noclegu wraz z kolacją.

Nazajutrz po wichurze nie było prawie śladu. Na drogach zalegał śnieg, ale nie na tyle, by nie dało się przejechać.

Gdy wrócili do siebie, zastali niepokojącą, martwą ciszę. Powinien powitać ich Neron, który zawsze radośnie wybiegał na spotkanie gospodarzy.

– Pewnie śpi – zasugerował Piotrek.

Jednak Joanna z jakiegoś powodu nie mogła się wyzbyć niepokoję. Ten bezgłos, który zaległ w mieszkaniu, budził w niej jakiś nieopisany lęk. Po prostu czuła, że jest w nim coś nienaturalnego.

Nawoływała Nerona po całym mieszkaniu, ale nie odpowiadał. W końcu znalazła go w kącie kuchni. Początkowo wydawało się jej, że po prostu zasnął zwinięty w kłębek. Dopiero po chwili zauważyła, że jego ciało pokryte jest warstwą lodu.

Zwabiony jej krzykiem Piotr przybiegł do kuchni i odruchowo dotknął zamrożonego ciała psa. Szybko jednak cofnął dłoń, krzywiąc się z bólu. Chociaż w domu panowało ciepło, ciało psa było tak lodowate, że palce prawie przymarzły mu do niego.

Próbowali ogrzać ciało Nerona grzejnikiem elektrycznym a nawet polewać wrzątkiem, ale odtajał dopiero po kilku dniach. Wtedy pochowali go za chatką.

Później Sławińscy opowiedzieli im historię, która tłumaczyła tamte zdarzenia.

Okolicę Wichrowej od niepamiętnych czasów nawiedzało coś okropnego. Nikt nie wiedział, czy jest to jakieś stworzenie, czy bezosobowa siła, pewne jednak było, że stanowiło zagrożenie dla mieszkańców. Jeżeli to coś miało imię, zostało już dawno temu zapomniane lub też nikt nie odważał się wypowiadać go na głos.

Przez większość czasu to fatum pozostawało uśpione, ale budziło się w niektóre zimowe noce. Jego nadejście zawsze zwiastowała zamieć poprzedzona burzą z piorunami,

zjawiskiem nienaturalnym o tej porze roku.

Po jego przejściu pozostawały zamrożone skorupy ludzi i zwierząt. Nikt nie wiedział, jak to coś wygląda i czym się kieruje. Kiedyś mieszkańcy próbowali to zabić lub egzorcyzmować, ale nikt, kto spotkał się z tym zimowym upiorem, nie wrócił żywy.

W końcu ludzie zrezygnowali z prób pokonania upiora, widząc, że wszelkie ich metody były nieskuteczne. Zamiast tego po prostu unikali go, kierując się znakami, które zawsze nieomylnie zapowiadały jego nadejście.

Za każdym razem, gdy pojawiała się zimowa burza, opuszczali domostwa i nocowali możliwie jak najdalej, by wrócić następnego dnia. Czymkolwiek to było, krzywdziło tylko żywe istoty. Puste obejścia w ogóle go nie interesowały, pozostawiało je bez jakiegokolwiek szkody.

Podobno kiedyś upiór potrafił pojawić się kilka razy do roku, ale teraz zdarzały się lata, gdy w ogóle się nie wybudzał. Obszar jego polowań coraz bardziej się zawężał. Dzisiaj obejmował jedynie kilka domostw położonych niedaleko gór. Ciężko powiedzieć, czy było to spowodowane coraz cieplejszymi zimami, czy też stwór po prostu tracił siły, gdyż nie mógł dopaść wystarczająco dużo ofiar.

Mieszkańcy stopniowo zaczęli zapominać o jego istnieniu, biorąc go jedynie za mit. I bez tego ciężko byłoby o śmiałków, którzy chcieliby się wybrać w góry w środku zamieci.

Gdy zmarł poprzedni właściciel chatki, którą kupili Joanna z Piotrem, odziedziczył ją jego daleki krewny. Ponieważ nie miał pożytku z nieruchomości, wystawił ją na sprzedaż.

– Nie wińcie chłopaka – tłumaczył Rafał. – Pewnie nawet nie wiedział o upiorze, prawie nikomu o nim nie mówiliśmy. I tak nikt by nie uwierzył.

Państwo Sławińscy jednak nadal pamiętali dawne historie i zdecydowali, że pomogą nowoprzybyłym.

Domyślali się, że nie przekonaliby ich historią o zimowym duchu, więc obmyślili plan, by wywabić ich z domu, gdy nadejdzie burza zwiastująca nieszczęście. Wystarczyło symulowanie choroby i kłamstwo o zepsutym samochodzie.

Joanna aż zadrżała na myśl o tym, co by się z nimi stało, gdyby tamtej zimowej nocy odmówili pomocy sąsiadom. Skończyliby podobnie jak biedny Neron. Pies nieświadomie uratował im życie. Gdyby nie jego śmierć, nigdy by nie uwierzyli w historię o mroźnym duchu.

Od tamtej pamiętnej nocy minęły trzy lata. O całym zdarzeniu nie rozmawiali z nikim poza Sławińskimi oraz ich paroma znajomymi, którzy byli już wcześniej wtajemniczeni w sprawę. Nawet ich rodzina nie знаła prawdy. Powiedzieli im, że Neron zmarł z powodu choroby. Nikt nie podejrzewał, że mogliby kłamać, bo niby dlaczego. Parę razy rozważali przygarnięcie nowego szczeniaka, ale jakoś nie mogli się na to zdobyć, czuli się, jakby robiąc to, zdradzili towarzysza, który zginął przez ich niewiedzę.

Gdy pierwszy raz poznali prawdę, byli przerażeni, ale w końcu historia stała się dla nich tylko lekką niedogodnością. Wystarczyła zwykła ostrożność, żeby nienaturalne zagrożenie przestało się różnić od zwykłych kataklizmów jak powodzie czy wichury. Do tego czasu tylko raz musieli uciekać przed zimową zjawą. Spędzili wtedy noc w tym samym motelu, co wcześniej.

Wszystko przebiegało bez problemów aż do teraz. Alicja, siostra Joanny, postanowiła wpaść do nich z wizytą podczas ferii zimowych. Wcześniej udawało im się odwiedzić krewnych i znajomych od odwiedzin o tej porze roku, ale tym razem sytuacja była inna.

– Mamy ferie i córka chciała koniecznie pojeździć na nartach. Chyba możemy u was spędzić parę nocy – przekonywała.

Co prawda szanse na to, że coś się wydarzy akurat podczas ich wizyty, były znikome, ale Joanna starała się za wszelką cenę zniechęcić ich do tego pomysłu. Próbowwała się wymówić chorobą i tym, że drogi są o tej porze zasypane, ale nic z tego. Jej siostra była uparta.

– Już obiecałam córce, że pojedziemy w góry. Jak nie chcecie nas, to najwyżej znajdziemy jakiś pokój w Zakopanem – dokończyła tonem nie znoszącym odmowy.

Nie było mowy o żadnych wymówkach. Joanna musiała się zgodzić. Gdyby dalej się upierała, tylko zraziłaby do siebie krewniaczkę. Już i tak najbliżsi narzekali, że za rzadko ich odwiedza.

W końcu myśleli, że nic nie powinno się zdarzyć, a jakby co, znajdą pretekst, by przełożyć wizytę o jeden dzień. Nawet w dawnych czasach nie zdarzyło się, by zimowy duch pojawił się na dłużej niż jedną noc.

Jednak jak na złość, na dzień przed przyjazdem gości, niebo zasnuły burzowe chmury zwiastujące nadejście niebezpieczeństwa.

Zgodnie z planem, udali się do pobliskiego miasteczka, gdzie wynajęli pokój na noc. Alicji wysłali wiadomość, że drogę zasypała lawina i prosili o wstrzymanie się z przyjazdem.

Niestety nie zdołali się dodzwonić do niej ani do jej męża. Zupełnie jakby wszystko sprzysięgło się przeciwko nim.

– Może należało im powiedzieć prawdę? – martwiła się Joanna.

– Żeby wzięli nas za wariatów! – rozłościł się Piotrek – Nie ma sensu im o tym mówić. Przecież pamiętasz, jak na ciebie patrzyli, gdy szukałaś pomocy u znachora.

Rzeczywiście, pamiętała. Kiedy medycyna okazała się bezradna, próbowała się leczyć u różnych cudownych uzdrowicieli, którzy podobno potrafili przywracać siły poprzez czakry i inne magiczne sztuczki. Wszyscy okazali się bezskuteczni. Na dodatek siostra nawymyślała jej od wariatek, że marnuje pieniądze na jakichś oszustów. Jak każdy zdrowo myślący człowiek, nie wierzyła w siły nadprzyrodzone. Gdyby tylko wiedziała o duchu zamieci...

– Ale gdybyśmy spróbowali, może by się udało... – przerwała, widząc rozzłoszczoną minę męża. Zwykle był spokojny, ale w tych rzadkich przypadkach, gdy się uparł, był trochę podobny do swojej szwagierki.

– I co by to dało? I tak by nie uwierzyła. A poza tym potwierdzili, że mają być dopiero jutro po południu.

– Ale może spróbujemy zadzwonić jeszcze raz, tak na wszelki wypadek? Masz może numer do Kasi? Może ona chociaż odbierze.

Pomysł wydawał się sensowny, siostrzenica Joanny była w drugiej klasie podstawówki i pewnie już miała własny telefon. Można było spróbować się do niej dodzwonić. Żadne z nich nie znało jednak numeru. Zawsze gdy mieli jakąś sprawę, rozmawiali z Alicją lub Jędrzejem, nie mieli powodu dzwonić do dziecka. Niestety nie zdołali ustalić numeru dziewczynki. Próbowali wyciągnąć go od dziadków, ale oni też go nie znali. Widać mała nie dostała jeszcze telefonu albo dzwoniła tylko do rodziców i koleżanek z klasy. Był piątek i siostra miała przyjechać dopiero jutro, ale Joanna nie mogła pozbyć się obaw, że zaraz może przydarzyć się coś złego.

– Jesteś pewien, że dobrze skręciłeś? – Alicja spytała męża.

– Znam drogę, byliśmy tu już przecież parę razy w lecie – odpowiedział Jędrzej, nie odrywając wzroku od drogi. Zwykle skupiał swoją uwagę na jednej czynności i bardzo nie lubił, gdy mu się przeszkadzało.

– Rozumiem, ale w tej zamieci niewiele widać. Gdybyśmy mieli nawigację, moglibyśmy sprawdzić.

– Ile razy mam ci powtarzać, kobieto, że znam trasę – warknął podenerwowany. – Byliśmy tu już kilka razy, droga nigdzie nie skręca, więc nie ma się gdzie zgubić. A gdybyś nie zapomniała komórki, mogłabyś se sprawdzić, czy jadę w dobrym kierunku.

– To nie fair. Spieszyłam się, bo chciałam zrobić Asi niespodziankę. Na pewno się ucieszysz, że wpadniemy przed czasem.

– Ty i te twoje durne pomysły. Nie można było wyjechać jutro rano, tak jak planowaliśmy? Nie wpadlibyśmy na tę cholerną śnieżycę, której nie było w żadnej prognozie. Do tego jest tak ciemno, jak w...

– Mamo, tato, możecie się nie kłócić? – Kasia odezwała się z tylnego siedzenia. – Są ferie i mamy się dobrze bawić.

Przez jakiś czas jechali w nic nie mówiąc. Jedynymi dźwiękami był warkot silnika oraz skrzypienie wycieraczek, które działając na pełnych obrotach, toczyły zażartą walkę ze śniegiem co chwilę oblepiającym szyby.

– Jesteśmy już prawie na miejscu – Jędrzej pierwszy przerwał milczenie, po czym widząc pytające spojrzenie żony, wyjaśnił: – Właśnie minęliśmy dom ich sąsiadów, zaraz dojedziemy.

Rzeczywiście, po chwili droga doprowadziła ich do domu Joanny i Piotra. W zamieci ledwie dało się dostrzec zarys budynku. Gdyby nie to, że jechał powoli, Jędrzej pewnie wjechałby prosto w jego ścianę. W tych warunkach nie bardzo miał jak manewrować, bo nie widział, co jest pod śniegiem. Głupio było teraz najechać na jakieś porzucone grabie czy podobną niespodziankę. Po prostu zatrzymał się, zgasił silnik i zaciągnął ręczny.

– Przy tej pogodzie nie ma sensu brać się za bagaże, bo nam wszystko zasypie. Szybko wysiadamy i pukamy do drzwi. Rzeczy i tak weźmiemy jutro, jak się rozjaśni.

Alicja skinęła głową. Nie uśmiechało się jej noszenie rzeczy przy tym mroźnym wietrze. I tak nikt ich nie ukradnie, nie było szans, by jakiś złodziej kręcił się na tym odludziu. Szybko wypadli z auta i ruszyli do drzwi wejściowych.

Chociaż od wejścia do domu dzieliło ich zaledwie kilkanaście metrów, ich pokonanie zajęło im dłuższą chwilę. Wiatr był tak silny, że musieli oboje trzymać córkę za ręce, żeby jej nie zwałiło z nóg. Sami też ledwie brnęli przez śnieg.

– Gdzie jest ten przekłety dzwonek? Nic nie widzę w tych ciemnościach – Alicji zajęło chwilę, nim zdołała po omacku znaleźć przycisk. Gdy to zrobiła, wcisnęła go z całych sił.

Czekała przez chwilę, aż ktoś otworzy, ale nic się nie działo. Ponowiła czynność, tym razem przytrzymując guzik zdecydowanie dłużej. Wiatr zawodził tak mocno, że w ogóle nie słyszała dźwięku domofonu. A może był popsuty?

Pomimo że byli ciepło ubrani, chłód przenikał ich do szpiku kości.

– Piotrek! Asia! To my! Otwórzcie! – Jędrzej zaczął łomotać do drzwi. – Halo! Jest tam kto?

Bezskutecznie tłukł w futrynę przez dłuższą chwilę, aż poczuł, jak ktoś szarpie go za skraj płaszcza. Obrócił się, żeby zobaczyć, że to jego córka uczepiła się go jedną ręką, drugą wskazując w stronę, z której przyjechali.

– Chyba widziałam, jak coś się tam rusza – wyjaśniła.

Jędrzej wysilił wzrok, ale nie zdołał zobaczyć, czy cokolwiek kryje się za kurtyną śniegu. Było tak ciemno, że ledwie widział na więcej niż parę metrów. Nie mógł nawet dojrzeć miejsca, gdzie zaparkował auto.

– Pewnie ci się przywidziało, kruszynko. – odezwała się Alicja – Po prostu śnieg pada i pewnie to właśnie...

Nie dokończyła, bo rzeczywiście zauważyła jakąś sylwetkę, która przedzierała się przez zamieć w ich stronę. Myśląc, że to może jej siostra lub szwagier, pomachała i zaczęła nawoływać.

Zdała sobie sprawę z pomyłki dopiero gdy przybysz zbliżył się do nich. Nie była w stanie dostrzec szczegółów, ale był zdecydowanie zbyt wysoki jak na człowieka. Przemknęło jej przez myśl, że to może jakiś niedźwiedź, ale sylwetka była niesamowicie chuda.

– Mamo, boję się – córka wczepiła się w nią kurczowo, szukając wsparcia.

Alicja ledwo to zarejestrowała, bo przez chłód zaczynała już tracić czucie w ciele. Chciała coś powiedzieć, ale zęby szczękały jej z zimna tak, że nie mogła ułożyć słów.

Gdy przybysz był na tyle blisko, że mogła mu się przyjrzeć, wrzasnęła z przerażenia. Wichura kompletnie zagłuszyła jej krzyk.

Gdy następnego dnia rano Piotr i Joanna wrócili do domu, znaleźli na progu trzy zamrożone sylwetki przytulonych do siebie osób. Ich ciała pokryte były tak grubą warstwą lodu, że ciężko było dojrzeć, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie. Wszyscy troje z wyrazem przerażenia wpatrywali się w tym samym kierunku, a usta mieli rozwarte w niemym krzyku.



MÓJ WUJEK JEST TRUPEM

Dariusz Sprenglewski

Marzenia lubią się spełniać, jednak zawsze przeciwnie do oczekiwań marzących. Marcin, choć teraz siedział z przyjacielem w parku, ciągle marzył o Asi. Gdy tylko poczuł wibracje w kieszeni spodni, wyciągnął telefon. Zapatrzył się na cztery białe litery. Błyszczały na ciemnym tle, hipnotyzując, obiecując spotkanie, może nawet randkę, pocałunek w policzek lub w... usta.

– No, stary, co się tak gapisz? – zakpił Krystian. – Odbieraj.

Próbując zignorować ciepłe fale zalewające policzki, Marcin dotknął zielonej słuchawki.

- Halo?
 - Marcin? – Głos Asi drżał z roztrzęsienia. – Przyjedziesz?
 - Eee, ale o co...
 - Marcin, ja... potrzebuję... ja... to był...
 - Hej, hej, spokojnie. Co się dzieje? Gdzie jesteś?
 - W lesie.
- Pociągnęła nosem, jakby przed chwilą zalewała się łzami. Zaniosła się kaszlem.
- W lesie? Aśka, wszystko okay?
 - Nic nie jest okay. Kurwa! Nic. Ja pierdolę.
 - Okay, spokojnie, spokojnie. W którym jesteś lesie?
 - Nie wiem. Rany. Kojarzysz tunel na Unruga?
 - Tunel? Wiadukt kolejowy. No obok jest las. Tam jesteś?
 - Tak. Przyjedziesz po mnie?
 - Już się zbieram.
 - Dzięki.

Marcin rozłączył się i schował telefon do kieszeni.

- Muszę lecieć.
- Co się stało?
- Aśka potrzebuje pomocy.
- Pomóc w czymś?
- Nie, nie. Pewnie chodzi o podwózkę czy coś. Widzimy się wieczorem.

Marcin pożegnał się i wsiadł do samochodu ojca – swojego nie miał. Prawa jazdy też nie miał, ale po osiedlu rzadko kiedy kręciła się policja, a do wiaduktu było niedaleko. Odpalił skodę i wyjechał na główną drogę dzielnicy. Jechał powoli, by nie przegapić Asi. Nie dostrzegł jej nigdzie na poboczu. Nieco za wiaduktem skręcił w zjazd do pobliskiego osiedla. Zauważył czarne ślady ostrego hamowania, a kawałek dalej samochód porzucony w pośpiechu. Zaparkował przed nim, wysiadł i rozejrzał się po okolicy. Zszedł niżej, w stronę głównej ulicy, skąd mógł dostrzec wejście do lasu.

Asia stała skulona między drzewami. Podbiegł do niej i im bardziej się zbliżał, tym mocniej przyśpieszało jego tętno, nie z radości jednak, a przez widok uwalanego błotem, podartego ubrania, gałązek sterczących z włosów i czerwonych plam rozmazanych na twarzy, bluzce i dłoniach.

Zatrzymał się dwa kroki przed Asią. W jej oczach błyszczało coś, czego jeszcze nigdy wcześniej w nich nie widział – poparta doświadczeniem, świadomość okrucieństwa i dziwna mieszanka emocjonalnego odrętwienia, przerażenia i gniewu.

– Asia?

Przełknęła ślinę z wyraźnym trudem.

– Przyjechałeś samochodem?

– Tak.

– M-masz w aucie łopatę albo coś?

Marcin przekrzywił głowę, próbując wyprzeć ze świadomości najbardziej logiczną przyczynę tak sformułowanego pytania.

– Aśka, w coś ty się wpakowała?

– M-masz? – zapytała, próbując brzmieć pewnie i stanowczo.

Widział, że zaraz się rozplacze. Nie, nie rozplacze. Rozpadnie. Że jej psychika trzyma się na słowo honoru.

– Tak, coś znajdę, ojciec zajmował z działki dziadka kilka rzeczy. Jemu już się nie przydadzą. Chyba była tam jakaś mała łopata. Zaraz ją przyniosę.

Wrócił do samochodu, wyciągnął z bagażnika saperkę nadającą się raczej do pielenia ogródka, nic lepszego jednak nie miał. Asia czekała na skraju ściany drzew, gdy tylko się zbliżył, odwróciła się i ruszyła ścieżką. Zanim dotarli do najbliższego rozwidlenia, odbiła w lewo, wchodząc między zarośla.

Szli pod strome wzniesienie. Marcin nadal widział skraj lasu i zarys bloku mającego za drzewami. Tak blisko cywilizacji, tak blisko ludzi.

Asia zatrzymała się. Liście poznały czerwień smug i kropel. Na rozoranej ziemi leżał mężczyzna. Nie ruszał się i sądząc po stanie głowy, więcej tego nie zrobi. Marcin zgiął się w pół i zwymiotował. Przez załzawione oczy nic nie widział wyraźnie, nie potrafił też opanować drżenia mięśni. Osunął się na kolana. Zwymiotował jeszcze raz. Łapczywie łapał każdy oddech, przetarł rękawem załzawione policzki i powoli, bardzo powoli się wyprostował.

– Kurwa, to trup.

Asia nic nie odpowiedziała, oczy zaszyły jej łzami, ale minę miała zaciętą.

– Kurwa mać!

– Cicho, ktoś nas... Lepiej, żeby nikt nas nie znalazł.

– Co ty, kurwa, nie powiesz? Dobra, lepiej gadaj, co tu się odwalilo.

Wbiła w niego wzrok. Szukał w jej spojrzeniu choćby cienia dziewczyny, w której skrycie się podkochał. Iskra dawnej Asi zamigotała w jej oczach, wybrzmiała w wibrującym strachem wydechu.

– Ja... Marcin, on mnie... Ja się tylko broniłam. Tylko się broniłam. Ja tego nie chciałam, Marcin. To on mnie... Pomożesz mi? Ja nie mogę iść do więzienia.

– Co ty pierdolisz? Nie masz osiemnastki, nie możesz iść do więzienia. A jak się broniłaś to...

– Słyszałeś kiedyś o przekroczeniu obrony koniecznej? – W głosie dziewczyny wibrowały nuty paniki i rozpacz. – Ja... On rzucił się na mnie. Musiałam to zrobić, ale wiesz, jak policja z nami rozmawia. A ja nie mam czystej teczki. Pomóż mi. Proszę.

Asia jeszcze nigdy dotąd nie wpatrywała się w niego tak intensywnie.

– Kurwa mać. Dobra.

TEGO SAMEGO DNIA RANO

W ogrodzie za domem pszczoły i motyle prześcigały się w konkursie na najbardziej nieskoordynowany lot, a dookoła unosił się zapach kwiatów, wzbogacony nutami skoszonej trawy. Asia stała przy huśtawce i co chwilę lekko popychała braciszka. Śmiał się głośno, rozkładał rączki na boki i pisał.

– Ce się bujać aż do neba!

– Aż tak? Niebo nie jest aż tak wysoko?

– To ce tak wysoko, jak ta wieża. – Mały wskazał widoczną nad dachem domku dzwonicę kościoła stojącego po drugiej stronie ulicy.

Od frontu dobiegł dźwięk silnika samochodowego. Asia zamyśliła się chwilę, to pewnie wuj parkował na ich podjeździe. Miał dzisiaj przyjechać. Westchnęła z niechęcią.

– Bujas mnie wysoko jak wieża?

– Jasne. Uważaj, bo uruchamiamy hipernapęd.

Robercik zawołał radośnie, a Asia nieco mocniej go popchnęła. Mały od razu zacisnął paluszki na obręczy siedziska, a jego twarz zmieniła się w maskę szczerzego przerażenia.

– Może trochę wolniej, co?

Mały pokiwał szybko główką. Asia nieco przyhamowała huśtawkę.

– Nie bój się, jestem tu. Przy mnie nic ci nie grozi.

– Ce ześć.

– Dobrze, już cię wyciągam.

Asia pomogła Robercikowi zejść z huštawki i przeszła z nim przed front domu. Niestety – na podjeździe faktycznie stał sedan wujka. Robercik krzyknął radośnie, pognął przez trawnik i zaczął łomotać w drzwi. Asia zmierzyła samochód nieprzychylnym wzrokiem i z ociąganiem dotarła na niewielki ganek. Otworzyła drzwi. W korytarzu już stała mama.

– No, jesteście. Już was chciałam wołać. Wujek przyjechał.

– Wuek Sefan! – Robercik wyminął mamę i pognął do salonu.

– Robi! – zawołała Asia. – Buty!

Sama weszła niechętnie, powoli zdjęła buty, z namaszczeniem powiesiła na wieszaku flanelową koszulę i skręciła w stronę łazienki. Nie mogąc tam w nieskończoność myć rąk, weszła w końcu do salonu. Robercik siedział na kolanach wuja Stefana i intensywnie machał nogami – wciąż nie zdjął butów.

– O! I jest nasz gwiazda!

– Cześć. – Asia nie mogła się zmusić, by choć spojrzeć na wujka.

– No, no, ale nam tu... pięknie dojrzałaś. – Wuj Stefan cmoknął z uznaniem. – Chłopcy to się pewnie za tobą, tego, uganiają, he?

Asia wzięła głęboki wdech i mocno zacisnęła usta, próbując opanować odruch wymiotny. Szukała choćby cienia wsparcia w oczach rodziców, ci byli jednak zajęci coraz bardziej brykającym Robercikiem.

– To ja pójdę do siebie.

– Tylko nie zagląдай do mojego pokoju – zawołał za nią wujek. – Mam tam dla was prezenty, ale to niespodzianki.

– Hula! Plezenty!

Asia wymknęła się na piętro, wyciągnęła telefon i już miała napisać do Marcina, z pytaniem, czy nie chciałby wyskoczyć na miasto, ale przypomniała sobie, że Krystian wczoraj przyjechał do miasta.

Odłożyła smartfona i położyła się na łóżku.

Mama zapukała dwa razy, uchyliła drzwi i wsunęła głowę do pokoju córki.

– Zaraz będzie obiad. Nakryj, proszę, do stołu.

Asia westchnęła z pogardą na myśl o konwenansach i uśmiechnęła się tak sztucznie, jak tylko potrafiła.

– Już idę.

Zeszła niezauważenie do kuchni. Wyciągnęła zastawę i razem z mamą rozłożyły talerze i sztućce. Niedługo później wszyscy domownicy usiedli do stołu. Tata zachwalał dania, Robi rozrzucał ziemniaczki i pieczołowicie oddzielał groszek od marchewki, a wuj Stefan co chwilę zerkał na Asię.

– A ty – przegryzł kęs mięsa – masz już jakiegoś chłopaka?

Asia, nie kryjąc zażenowania, utkwiała wzrok w talerzu.

– Coś ty taka nieśmiała?

– Asia nie ma chłopaka – wtrąciła mama.

– Nie ma? Z taką buzią, z takimi... oczami? W tej twojej szkole chłopacy są ślepi, czy jak?

– Asia ma jednego kolegę, nawet bliskiego...

– Mamo.

– No przecież mówię, że to tylko kolega. Marcin. Bardzo porządny chłopak. Jego tata ma warsztat samochodowy. Nie jakiś markowy. No i czasem... powiedzmy, że czasem warsztat bywa zamknięty przez dzień czy dwa. Ale Marcin jest porządny.

Wuj nachylił się do Asi.

– A całowałaś się już z tym Marcinem?

Tata nieco zbyt ostentacyjnie się rozkaszał. Wuj Stefan poklepał go po plecach.

– Uważaj, trzeba dokładnie przeżuwać.

– Ech, tak. Racja.

– To jak tam z tym Marcinem?

– Asia – wydyszał tata między kaszlnięciami – ma jeszcze czas na całowanie. Szkoła jest najważniejsza.

– Nie możesz jej tak krótko trzymać.

– Obaj wiemy, co w głowie mają chłopcy w jej wieku.

Wuj zaśmiał się w głos, strzelił z palców i puścił oczko do brata. Temat relacji z chłopcami musiał ustąpić zdrowiu i polityce.

Zaraz po obiedzie Asia z mamą zebrały naczynia i wzięły się za zmywanie. W salonie tata podłączał laptopa do telewizora.

– Pośpieszcie się tam – zawołał. – Zaraz zaczynamy.

– Może jakbyś kupił w końcu zmywarkę, zmywanie poszłoby szybciej – mama mruknęła pod nosem.

Asia parsknęła szczerym śmiechem. Zerknęła przez ramię. Wuj rozsiadł się w fotelu jak pan i władca.

– Nie uważasz, że wujek dziwnie się zachowuje? No, dziwniej niż zwykle.

– Och, on po prostu taki jest. Miewa swoje dziwactwa i mnie też nie po drodze z niektórymi jego poglądami, ale to rodzina.

– Taa, rodzina.

– Asia.

– A muszę oglądać te zdjęcia? Nie mogę iść do siebie?

– Albo spotkać się z Marcinem?

Asia fuknęła pod nosem, ale usta wykrzywił jej niewielki uśmiech. Spoważniała jednak po chwili, gdy tylko wspomnienie zawadiackiego uśmiechu Marcina zastąpiła świadomość, że na spotkanie nie ma dzisiaj szans.

– Marcin dzisiaj umówił się z kumplami. No, z jednym kumplem. Przyjacielem, właściwie. Nie chciałam mu zawracać głowy. Od tygodnia o tym truję.

– No tak, męskie spotkanie.

– To muszę oglądać te zdjęcia?

– Nie. Nie musisz. Leć do siebie.

Asia wytarła ostatni talerz i przemknęła do schodów. Wspięła się na piętro i już miała pognać do swojego pokoju, gdy nagle wyłapała kątem oka jakieś migotanie. Zerknęła w jego kierunku. Pokój gościnny stał przed nią otworem, a pod łóżkiem zauważyła coś drewnianego z mosiężnym zapięciem – przedmiot zdecydowanie do wuja nie pasował.

Rozejrzała się i weszła do pokoju. Wysunęła skrzynię, odblokowała klips zapięcia i podniosła drewniane wieko. W środku zanurzona w trocinach leżała gliniana butelka zdobiona dziesiątkami zawijasów. Korek był zapieczętowany woskiem. Obok, ułożone w stos, spoczywały kwadratowe, kamienne płytki. Asia wzięła jedną z nich i obejrzała z każdej strony. Ranty pokrywały takie same zawijasy, co butelkę. Tuż przy ścianie wystawały z trocin złożone kartki, jedna biała, druga pożółkła, sztywna i szorstka w dotyku. Asia rozłożyła je. Na żółtym pergaminie zapisano coś obcym alfabetem. U dołu widniał rdzawobrązowy odcisk palca. Na białej kartce ktoś skreślił starannym, odręcznym pismem wiadomość dla wujka.

Drogi Stefanie,

Łącznik przystał na Twoją prośbę. Znasz wytyczne. Znasz termin. Do dnia Czasów Ostatnich rób z bratanicą, co chcesz, później przecież nie będzie okazji – my grzechy Ci odpuścimy. Twoja dusza będzie u nas bezpieczna.

Uniżony sługa Ścieżki Lewej Ręki,

AB

– Prosiłem, żebyś tutaj nie zaglądała – powiedział wujek z przekąsem.

Asia zamarła.

– Stefan, a ty gdzie... – Mama weszła na piętro i również zastygła. – Asia!

– Och, daj spokój, ciekawość to nic złego.

– Przepraszam cię, Stefan. Asia, wylaż stąd, już.

Asia odłożyła listy i zabrała się za zamykanie wieka.

– Daj, ja to zrobię. Cholerstwo ciężko chodzi.

Wuj klęknął obok Asi. Odruchowo się odsunęła i spojrzała na mamę.

– Asia, mogę cię prosić na słówko.

Dziewczyna spoglądała na mamę wzrokiem błagającym nie tylko o wybaczenie, ale też o amnestię, zrozumienie i przepustkę na wolność lub chociaż do pokojowego azylu. Kobieta, z wyrazem zawodu na twarzy, pokręciła głową, ale w końcu westchnęła przyjaźnie.

– Nie susz małej głowy. Nic się nie stało.

Spojrzała na szwagra z wyrzutem za wtrącanie się w metody wychowawcze, potem na córkę.

– Asia podjedź do Kaufa, tylko tam mają...

– Do sklepu? To może ją podwiozę, będzie szybciej, a nasza gwiazda nie będzie musiała dźwigać toreb i rozbijać się autobusami.

– Nie trzeba – odparła dziewczyna. – To tylko kilka przystanków.

– Przestań. Wkładaj buty i się zbieramy.

Wuj wsunął skrzynię pod łóżko i wyszedł z pokoju. Asia, mijając mamę, spojrzała na nią błagalnie, ta jednak tylko wzruszyła bezradnie ramionami. Asia zeszła na parter, odebrała od mamy sporządzoną na poczekaniu listę zakupów i ubrała się, bardzo dokładnie zawiązując buty. Wuj przepuścił ją w drzwiach.

– Panie przodem.

TERAZ

Asia i Marcin jechali samochodem w milczeniu, ubłoceni, z dłońmi ubrudzonymi ciemniejącą, zaschniętą krwią. Ona wpatrywała się w świat za oknem, on próbował skupić uwagę na drodze. Całe szczęście, że ojciec pojechał do warsztatu i zostawił samochód – to znaczy, że pewnie wróci napruty. A jak napruty, to wróci późno. Na szczęście.

Zaparkowali pod starym blokiem z wielkiej płyty i weszli do ciasnego mieszkania zawałonego niepasującymi do siebie meblami. Marcin wyciągnął z szafki czysty ręcznik i podał Asi.

– Ty idź pierwsza. Zaraz przyniosę ci spodnie i bluzkę.

Spojrzała na własne ubranie. Nie było mowy, by w nim została. Musiała się go pozbyć. Skinęła głową i weszła do łazienki. Po prysznicu ubrała się w jego spodnie – nogawki musiała podwinąć. Bluzka, choć za duża, prezentowała się znacznie lepiej. Weszła do pokoju Marcina.

– Wolne.

Marcin zniknął w łazience z naręczem ubrań. Asia została sama ze swoimi myślami, które nie chciały spłynąć do odpływu wraz ze strumieniem wody. Siedziała na wąskim, niepościelonym łóżku, obok na odrapanym krześle piętrzyły się ciuchy.

Zanim się obejrzała, Marcin wrócił do pokoju. Usiadł obok niej i zapatrzył się w ścianę. Westchnął ciężko.

– Powiesz, co się stało?

Asia bezgłośnie przełknęła ślinę. Przymknęła oczy. Nabrała w płuca powietrza i wypuściła je powoli.

– To trudne.

– Co ty nie powiesz?

– Nie złość się na mnie – głos jej się załamał.

Marcin od razu złagodniał. Ta cholerna broń kobiet – łzy. Widział łzy wielu dziewczyn, nie sądził, że kiedyś zobaczy Asi. Do dzisiaj sądził, że kto jak kto, ale ona płakać nie potrafi. Mylił się. Objął ją i pogładził ramiona.

– Nie złościę. Po prostu chciałbym wiedzieć, co tam się stało.

Pociągnęła nosem, westchnęła i zamknęła oczy. Zaczęła mówić.

– Jechaliśmy jego samochodem. Do sklepu. Miałam sama zrobić zakupy, ale się uparłam, że mnie podrzuci. No więc jechaliśmy, ale on minął sklep.

– Co wujek robi? – zapytałam.

A on:

– W tym źle przechowują mięcho. Pojedziemy kawałek dalej, w końcu jak już jedziemy autem, to czemu mamy z tego nie skorzystać?

Nie podobało mi się to. A jak minęliśmy Estakadę, to... No zaczęło się robić... On zaczął wygadywać różne rzeczy. Obłeśne.

– Jesteś uparta, zadziorna i wojownicza – mówił. – Wiedziałem, że będą z tobą przeboje, ale miałem nadzieję, że jednak odpuścisz. Coś mi się jednak zdaje, że nie skorzystasz po dobroci z mojej oferty, więc... musiałem wymyślić, coś innego. – Obliznął usta. – Tak będzie nawet lepiej. Nadal jesteś... niewinna. Niewinne smakują najlepiej.

Niedobrze mi się zrobiło. Jak on mógł tak do mnie powiedzieć? Że ja... najlepiej smakuję? Ledwo wierzę, że naprawdę to powiedział.

Jechaliśmy jeszcze chwilę i nagle...

Powiedział, że chce dla mnie jak najlepiej, że nie powinnam się go bać, bo on tylko chce mi dać to, co najlepsze.

On...

Wtedy się... na mnie... rzucił.

Nie zatrzymał się, po prostu puścił kierownicę i jego ręce wylądowały na...

Krzyknęłam i zaczęłam się szarpać. Chyba się przestraszył, bo cofnął ręce do kierownicy. Zwolnił też. Wtedy wypięłam pas i zaciągnęłam ręczny. Z całej siły. Zarzuciło nami, a on odruchowo wdepnął hamulec.

Otworzyłam drzwi i wybiegłam. Widziałam, jak odpala i zjeżdża kawałek dalej na chodnik, jak wyskakuje z samochodu. Pobiegnęłam do lasu.

Zeszłam ze ścieżki, ale on szybko mnie dogonił. Złapał mnie i powalił na ziemię. Skoczył na mnie. Szarpałam się, ale on był taki ciężki. Tak głośno sapał. Śmierdział. Jego oddech cuchnął, jakby cały w środku zgnił.

Nagle poczułam pod ręką coś twardego. Wzięłam to i... zaczęłam walić. Waliłam raz za razem, na oślep. On mnie przygniótł. Ale się nie ruszał. Wy... wygramoliłam się spod niego i zadzwoniłam do ciebie.

Marcin przytulił Asię mocniej. Pocałował w bok głowy.

– Musimy wszystko powiedzieć twoim rodzicom – zdecydował. – I policji.

– Ja go zabiłam.

– To nie była twoja wina. Napadł na ciebie.

– A co jak, nie wiem, trafię do poprawczaka... Co z Robim? Rodzice niczego nie ogarniają. Zobacz, co im wyszło ze mną. Jak zajmą się nim?

– Aśka, broniłaś się. Nie zrobiłaś nic złego. Chodź. Odwiozę cię do domu.

Spojrzała na Marcina, a mrok pustki w jej oczach nieco rozproszyła błada poświata iskierki nadziei.

– Dobrze, ale tylko jeśli pojedziesz ze mną.

– Jasne – zaśmiał się nerwowo i dodał spokojniej: – Jasne, że pojedę.

Pocałowała go w usta. Krótko i z wprawą typową dla niedoświadczonej nastolatki. To były najcudowniejsze dwie sekundy jego życia.

– Dziękuję – szepnęła.

Stanęli na małym ganku, Marcin nieco z tyłu, na schodku. Asia obróciła się do niego i złapała za dłoń.

– Nie uciekniesz?

– Nigdzie się nie wybieram. Mówiłem, jestem z tobą.

Asia pokiwała głową, próbując samą siebie przekonać, że mu wierzy. Otworzyła drzwi i, trzymając Marcina za rękę, weszła do przedsiionka. Oboje zdjęli buty nadal zabrudzone błotem.

Wchodząc do salonu, zatrzymali się gwałtownie z przerażeniem wymalowanym na twarzach. Wujek Stefan siedział sobie na kanapie i w najlepsze zajadał się ciastem. Spojrzał na nich.

– O, jesteście już. Właśnie z twoją mamą zastanawialiśmy się, kiedy Marcin cię odstawi.

– Wuj przeniósł wzrok na chłopaka. – Dziękci, że zająłeś się naszą małą dziewczynką. Co tak stoicie? Umyjcie ręce i siadajcie.

– Ale pan...

– Mówiłem, że ze zmianą koła poradzę sobie szybciej, niż ty odwieziesz Asię do domu. Co, wstąpiliście do ciebie, tak? Żeby trochę się... odświeżyć? Fajna bluzka, nie za duża trochę?

– Pan przecież...

– Pan, pan, pan. Tyle was nie było, że też zdążyłem się już umyć. Lećcie myć ręce i do jadalni. Czas na prezent.

Asia i Marcin wyszli z salonu. Chłopak zerknął na drzwi wyjściowe, spojrzął na Asię wymownie, ale ta pokręciła przecząco głową. Weszli do łazienki.

– Co to, kurwa, było? – panikował Marcin.

– A skąd mam wiedzieć?

– Przecież go zakopaliśmy.

– Głośniej, kurwa.

– Bo co? Usłyszą, że go zabiłaś, zakopaliśmy ciało, a on sobie teraz tutaj normalnie siedzi? Aśka to jest popieprzone. Nie wiem, co tu się odwała, ale...

– Nie zostawiaj mnie z tym samej. Obiecałeś.

– Że będę przy tobie, kiedy przyznasz się do wszystkiego, a nie kiedy... – Wskazał w stronę zamkniętych drzwi łazienki.

Asia pociągnęła nosem i zaczęła myć ręce. Intensywnie. Agresywnie. Marcin stanął obok.

– Słuchaj, nie mam pojęcia, co tu się dzieje. Może powiedz, że źle się czujesz i pojedziemy do mnie.

Dziewczyna spojrzała na Marcina z mieszaniną gniewu i pogardy.

– I mam z NIM zostawić Robiego? Rodzice nic nie wiedzą. Nic nie zrobią. Muszę go chronić.

Marcin pokiwał powoli głową.

– No dobra. To zostajemy i co?

– Zostaje-MY? Czyli...

– No nie zostawię cię z tym. Rozeznamy się w sytuacji i wtedy zdecydujemy co dalej. Masz jakiś pomysł, o co może chodzić?

– Żadnego. Dobra, myj ręce i chodźmy.

Chwilę później wszyscy siedzieli w jadalni przy stole, a wuj Stefan zajął miejsce honorowe. Przed sobą postawił drewnianą skrzynkę. Otworzył wieko i wyciągnął kamienne płytki.

– Wiem, że może nie tego się spodziewaliście, ale wierzcie mi, te cudenka są warte każdej ceny. Co prawda, to tylko podstawki, ale podobno kto kiedy postawi na nich opróżniony kieliszek, będzie mieć ogromne szczęście w najbliższym czasie. Proszę.

Podał płytki mamie Asi, a ta obejrzała je, cmoknęła kilka razy z uznaniem i rozdała po jednej każdemu. Wuj odczekał, aż tata Asi postawi przed każdym kieliszki (poza Robim). Gdy stawiał szkło przed Marcinem, pochylił się do jego ucha.

– Jesteś samochodem?

– Tak. I nie powinienem.

Tata Asi wyprostował się nieco i spojrzał na wuja Stefana.

– Mocny ten trunek? Mamy tu kierowcę. No i Asia nie ma jeszcze osiemnastki.

– Och, przestań, to kopie jak woda. Prawie nie ma procentów. Ale jest smaczne.

– No dobra.

Tata Asi postawił kieliszek przed Marcinem i córką, Robiego jednak ominął.

– A małemu nie dasz?

– Ta, ja tes ce.

– Nie ma mowy – wtrąciła się mama. – Może i to jest herbatka, ale nadal z prądem.

Robi jest zdecydowanie za mały.

– Daj spokój, przecież to w zasadzie sok. Jedyne, co mu może być, to głębszy sen. Nie marzyłaś czasem o przespanej nocy?

– Nie i koniec tematu. Robercik ma swoje picie.

Wuj spojrzał na malucha.

– Może później mama da się przekonać. – Puścił oczko do chłopca.

Rozlał kolejno każdemu po kolei, omijając Robiego, gdy jednak doszedł do Asi, ta zasłoniła dłonią kieliszek.

– Co się stało?

– Nie chcę.

– Przecież nic ci po tym nie będzie. Ile ty masz lat? Pięć?

– Nie chcę. Rozpijanie nieletnich to przestępstwo.

– Rozpijanie nieletnich... Bla, bla, bla. A co ty taka sztywniara się nagle zrobiłaś?

Dobrze pamiętam, jak w zeszłym roku wróciłaś z koncertu, a raczej w jakim stanie wróciłaś.

– Po prostu nie mam ochoty na wino.

– Jak nie chce, to jej nie nalewaj – tata poparł Asię.

– Uparta, zadziorna i wojownicza – zakpił wuj.

Odpuścił i zajął swoje miejsce. Spojrzał po zebranych, uniósł kieliszek, a jego usta wykrzywiły się w uśmiechu, choć błysk w oczach na radosny wcale nie wyglądał.

– Tam, skąd pochodzi to wino, jest taka tradycja, że pierwszy kieliszek, zaraz po toaście, trzeba wychylić na raz i odstawić na podstawkę.

– Nie wiem, czy dam radę – zaśmiała się mama Asi.

– Dasz, dasz, mówię, to wino wchodzi jak woda. To co, czas na tradycyjny toast. – Wuj wygładził koszulkę na brzuchu, uniósł kieliszek nieco wyżej i wydeklamował: – *hychnsw lchljm szhchtj wwrchm whszltw l gwff hsfjr hrszwn, chdj sztwchnjwtyw szl hchd jtmmszw whzmnjm hch*¹.

– To było... – zaczęła mama Asi – bardzo ciekawe.

Wuj uniósł kieliszek i wypił zawartość na raz. Mama Asi zrobiła to samo, jej ojciec zerknął na Marcina.

– To co, na zdrowie. – Uśmiechnął się i wlał w siebie trunek.

Marcin zerknął na Asię i od razu wrócił spojrzeniem na jej ojca, gdy ten się rozkaszał.

– Spokojnie, to nie przez wino. Czemu nie pijesz? No dalej, na zdrowie.

Marcin zmusił się do uśmiechu i pociągnął łyk. Wszyscy odstawili kieliszki na kamienne podstawki. Robi upił wody ze swojego kubka niekapka.

Mama, tata i Marcin rzygnęli przed siebie krwią. Robi zapowietrzył się i ze strachu wbił w oparcie krzesła. Spojrzał na siedzącą obok Asię. Była równie przerażona, co on. Wuj zaś stał dalej, niewzruszony uśmiechał się jak wcześniej, tylko jego oczy stały się całkowicie czarne.

– Z-za-zabiłam cię w lesie.

– Nie. Nie mnie. Tylko swojego wuja. Był z niego kawał skurwysyna, przyznaję. Dlatego tak mi się spodobał.

– Co tu się dzieje?

– Przyszedł czas wyrównać rachunki z ludźmi.

Mama, tata i Marcin wyprężyli swoje ciała i ryknęli zwierzęco. Opadli na oparcia, dyszeli, a ich ciała powoli wypełniała obca siła. Spojrzeli na Asię, na Robercika i uśmiechnęli się paskudnie.

Asia zerwała się, przewracając krzesło. Porwała braciszka na ręce i, wyminawszy wstającego Marcina, wybiegła do przedsionka. Rozwarła drzwi frontowe i nie zważając na brak butów, wybiegła na zewnątrz. Dookoła nie było nikogo, ale z kilku domów dobiegały krzyki. Było też dziwnie jasno jak na tak późny wieczór. Asia spojrzała na niebo. Przez gęsto skłębione chmury przebijała pomarańczowa poświata.

¹ *(heb. היכנסו לכלים שהכנתי עבורכם והשתלטו על גופי הספירה הראשונה, כדי שתוכניו של האחד יתממשו והזמנים האה, powyżej w transkrypcji polskiej.)* tłum.: Wejdźcie do naczyń, które dla Was przygotowałem i zawładnijcie ciałami sfery pierwszej, by ziszczyć się mogły plany Jedyne go i by przyjść mogły Czasy Ostatnie. Niech się stanie.

– Mogłaś po dobroci. – Wuj wyszedł na ganek, rodzice i Marcin stali tuż za nim. –Ale tak też mi pasuje. Jak to powiedział twój wuj, *niewinne smakują najlepiej*.

Asia zerwała się do biegu, przyciskając do piersi Robiego. Wybiegła przed furtkę i obejrzała się przez ramię. Wuj szedł spokojnie w jej stronę.

– Pomocy! Halo! Ratunku!

Wuj zaśmiał się upiornie.

– Nikt ci nie pomoże.

Asia wyszła na ulicę. Syknęła, gdy tylko jej stopy, chronione jedynie cienkimi skarpetkami, zetknęły się z szorstkim asfaltem. Rozejrzała się w poszukiwaniu ratunku. Choć we wszystkich domkach paliły się światła, z każdego też dobiegały krzyki przerażenia. Wzrok Asi padł na drugą stronę ulicy. Kościół! Pobiegnęła w jego stronę, wparowała przez otwartą furtkę i jeszcze raz się obejrzała.

– Pomocy! – krzyknęła, tuląc do piersi Robercika. – Pomocy!

Kapłan wyszedł z kościoła. Asia podbiegła do niego i wepchnęła mu w ramiona braciszka.

– Proszę księdza, ja nie wiem, co się dzieje.

– Słyszałem mnóstwo krzyków. Chwileczkę, czy to nie twoi rodzice?

– Mama i tata są bebe.

Asia pogładziła główkę braciszka.

– To nie są mama i tata. To źli przebierańcy.

Wstała i się obróciła. Przed furtką stali wuj, jej rodzice i Marcin. Wszyscy wpatrywali się to w nią, to w kapłana.

– W kościele znajdzie się miejsce również dla was – zawołał ksiądz.

Wuj zaśmiał się tak, jak żaden człowiek nie byłby w stanie.

– Jego oczy... – Kapłan mruknął pod nosem.

– Coś im się stało. Nie wiem, co, ale chcą nam... Oni są źli.

Kapłan odstawił Robercika na ziemię i zbliżył się do furtki. Spojrzał wujowi Stefanowi prosto w czarne oczy.

– Na Boga Miłosiernego, czym ty jesteś?

Wuj parsknął kpiąco.

– Ludzie dzielą się na dwa rodzaje, kapłanie. Jedni to owieczki twojego Pana. Drudzy to ci, co owieczki zjadają. – Rozwarł szeroko paszczę, prezentując długie, wąskie kły.

Cały świat zatonął w niskim ryku trąby niczym wojenny róg zwiastującej rychłą bitwę Czasów Ostatnich – Armagedon.

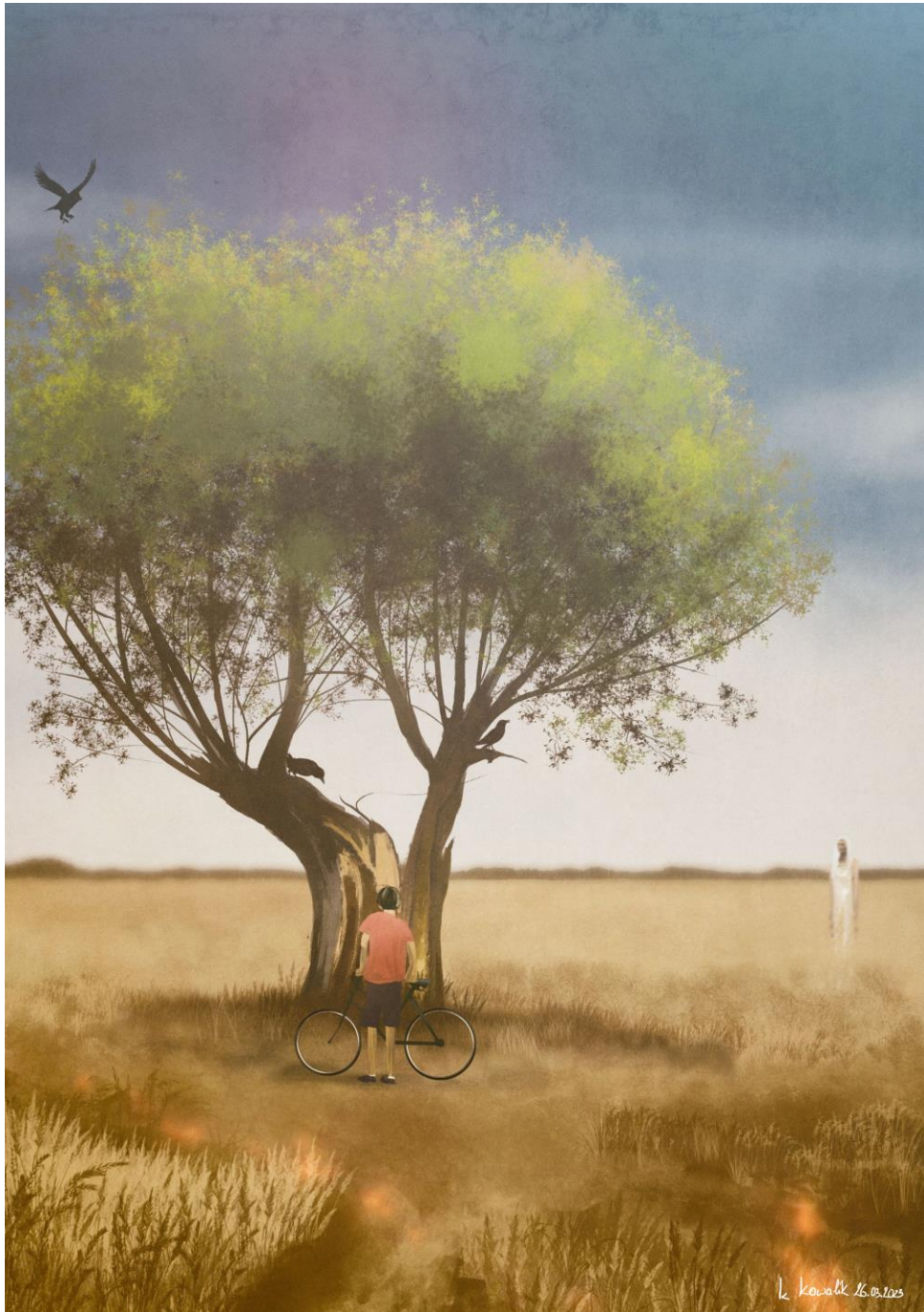
– Nie możecie tutaj chronić się wiecznie. Poczekamy na was.

Chmury ustąpiły powierzchni tańczących płomieni. W ich pomarańczowej poświacie Asia dostrzegła setki uskrzydłych, czarnych sylwetek. Kapłan cofnął się w stronę Asi. Robercik złapał siostrę za rękę.

– Boę się.

– Nie bój się, jestem tu, przy mnie nic ci nie grozi.

Wbiegli do kościoła i zaryglowali drzwi. Ksiądz zawsze marzył, by kościół stał się prawdziwym schronieniem dla zbłąkanych dusz. Za cenę duszy zaś wuj Stefan chciał dostać bratanicę i uniknąć kary. Marcin marzył, by Asia do niego zadzwoniła, spotkała się z nim i pocałowała go w usta. Asia pragnęła, by Robercik był bezpieczny, a Robi chciał tylko polecieć do nieba. Marzenia lubią się spełniać, jednak nie tak, jak tego oczekujemy.



POŁUDNICA

Emil Zawadzki

Był wyjątkowo upalny dzień, sierpniowe słońce grzało niemiłosiernie już od kilku godzin, a ciężkie, parne powietrze nawet w cieniu nie dawało chwili wytchnienia. Nad wsią Stare Mogiły nie unosiła się ani jedna chmurka, a doszczętnie wyschnięta ziemia już od miesiąca nie zaznała życiodajnego deszczu. Z okolicznych pól wracała właśnie grupa rolników, wszyscy ukrywali głowy pod szerokimi rondami kapeluszy. Mimo nieznośnej temperatury szli w stronę wioski szybkim krokiem, a co jakiś czas któryś z nich oglądał się trwożnie przez ramię. W takie dni jak ten po prostu nie dało się pracować w polu w samo południe.

Biorąc pod uwagę tę piekielną pogodę, wszyscy mieszkańcy wsi powinni siedzieć bezpiecznie w domach. A jednak z jednego budynku wyszła starsza kobieta i z wyraźną irytacją zaczęła maszerować przez skąpany w słońcu ogród.

– Zejdź z tego drzewa Edwin! – zawołała staruszka, zatrzymując się nagle nieopodal rozłożystego dębu. Co jakiś czas zerkała to na maszerujących w oddali chłopów, to na drzewo. Mieszkała na samym skraju wsi i droga powrotna z pól wiła się zaraz za płotem jej ogrodu.

– Nic mi nie będzie babciu, nie spadnę! – odrzyknął młody chłopak. – Chciałem sprawdzić, czy z góry zobaczą pracujących ludzi.

– Oni już nie pracują! Zobacz, wszyscy wracają do domów. I ty też powinienes! Złaź na dół, dzieciaku! Niedobrze jest kręcić się blisko pól, gdy jest tak gorąco! Idziemy do środka!

Edwin zaczął pośpiesznie schodzić, czepiając się zwinnie coraz to niższych konarów. Najwyraźniej surowy ton babci skłonił go do pośpiechu.

– Dlaczego muszę wracać? Czemu wszyscy idą się schować? – dopytywał chłopiec, po czym zeskoczył z ostatniej gałęzi prosto na ziemię i spojrzał na babcię niczym zbity pies.

– Jest za gorąco! Słońce ci przygrzeje i rozboli cię głowa! Ludzi, którzy w taką pogodę nie odpoczywają, łapie południca i spuszcza im manto! A teraz marsz do domu!

Z jakiegoś powodu kobieta niecierpliwiła się coraz bardziej. Odetchnęła z ulgą dopiero wtedy, gdy Edwin ruszył w stronę domostwa ze zwieszoną smętnie głową. Otarła pot z czoła i spojrzała trwożnie w stronę pól. Rolnicy wracający z pracy dotarli już do granicy jej działki. Babcia Edwina pozdrowiła mężczyzn skinieniem głowy, przeżegnała się ukradkiem, po czym odwróciła się i ruszyła pośpiesznie za wnuczkiem. Od zawsze było wiadomo, że w taką pogodę najrozsądniej było skryć się w domowym zaciszu.

Edwin co roku podczas wakacji bywał przez parę tygodni u swojej babci, Bogumiły Zawłockiej. Zazwyczaj spędzał tu lato razem ze swoim kuzynem, towarzyszem zabaw od najmłodszych lat. Tym razem był tu jednak sam i nuda bardzo dawała mu się już we znaki. Dni spędzał albo na pomaganiu babci w codziennych obowiązkach, albo na wałęsaniu się po najbliższej okolicy. Na towarzystwo innych dzieci ze wsi nie miał co liczyć. Wyglądało na to, że w Starych Mogiłach mieszkali sami dorośli i starcy. Jedynymi rozrywkami Edwina było wspinanie się po drzewach i jazda na rowerze. Niestety, nawet wtedy ograniczały go surowe zakazy babci.

– Tylko pamiętaj, nie oddalaj się zanadto od wioski – pouczała go kobieta za każdym razem, gdy prowadził swój stary rower w stronę furtki.

Zdawać by się mogło, że Stare Mogiły były najnudniejszą senną wioską na świecie, taką, gdzie nikomu nigdy nie przydarzyło się nic złego. Babcia jednak zawsze musiała przypominać Edwinowi o wielu nieprawdopodobnych zagrożeniach.

– Nie podjeżdżaj za blisko do lasu wnusiu, bo porwie cię stary dziad leśny! – mawiała w takich chwilach Bogumiła Zawłocka. – Nie kręć się też przy jeziorze, bo topielica zaciągnie cię na dno! I na pola się nigdy sam nie zapuszczaj, bo południca złapie cię w worek, a później zje! I jeszcze jedno! Tylko wróć mi do domu przed zmrokiem, bo inaczej trafisz na nietoperze i wplączą ci się we włosy!

Za każdym razem Edwin był posłuszny, chociaż nigdy nie widział choćby śladu po groźnym dziadzie leśnym, ani po topielicy czy południcy, o nietoperzach już nawet nie wspominając. Problem w tym, że chłopak miał już dwanaście lat i coraz trudniej było mu traktować poważnie te wszystkie ostrzeżenia babci. Był wściekły na rodziców, za to, że wywieźli go tu prawie na całe lato. Zły był także na babcię, która traktowała go cały czas jak małe dziecko. Najbardziej jednak złościł się na tę przeklętą wieś, w której nigdy nic ciekawego nie było do roboty.

Tego pamiętnego, najgorętszego dnia lata Edwin wymknął się z domu babci zaledwie kilkanaście minut po tym, jak kobieta zagoniła go do środka. Jechał właśnie rowerem przez wieś, próbując jakkolwiek zabić czas pozostały do obiadu, jednocześnie uciekając przed

pomaganiem w przygotowywaniu jedzenia. Nieśpiesznie mijał kolejne budynki mieszkalne i obory, zbliżając się do skraju wioski. Wyglądało na to, że absolutnie wszyscy zaszyli się we własnych domach. Nawet wszędobylskie psy i koty poukrywały się w różnych zacienionych zakamarkach. Edwin dojechał już niemal do domu babci, kiedy dostrzegł wąską dróżkę biegnącą wzdłuż dobrze mu znanego, drewnianego płotu. Wiedział, że drogą tą dojechałby na pola. Nigdy jeszcze tam nie był bez nadzoru, bo co roku babcia straszyla go najróżniejszymi zabobonami.

– Cholera! – zawołał buntowniczo i rozejrzał się z trwogą, bojąc się, że ktoś usłyszał, jak posługuje się brzydkim słowem. W okolicy nie było absolutnie nikogo. Chłopiec poczuł się nagle bardzo dorosły, wręcz bezkarny. Uznał, że może jechać gdzie chce i kiedy chce - nawet na pola w samo południe. Zjechał z asfaltowej drogi i popędził ścieżką między drzewami.

Pełna zakrętów dróżka wiła się na niewielkie wzgórze, oddalając się stopniowo od domu babci Edwina i zbliżając do zakazanego obszaru. Chłopiec, mimo uciążliwego upału, zdołał wjechać na wzgórze bardzo szybko. Zupełnie jakby bał się, że w ostatniej chwili ktoś go zatrzyma i zawróci. Dopiero na szczycie musiał stanąć na chwilę z powodu lekkiej zadyszki. W końcu i jemu gorąco dawało się we znaki, nawet pomimo ogromu rozpierającej go energii. Wtedy zobaczył nareszcie to, co tak go kusiło - przepiękny krajobraz rozciągający się aż po horyzont. Niekończące się pola pszenicy i żyta, poprzecinane siecią wąskich ścieżek. Żłocisty kolor zbóż kończył się wiele kilometrów dalej, gdzie majaczyła ściana gęstego lasu. Edwin nie miał do tej pory pojęcia, jak rozległy obszar obejmowały pola za wioską.

Chłopak miał ochotę zostać dłużej na wzgórzu, żeby podziwiać przepiękną okolicę, ale ledwo wytrzymał, stojąc tak w pełnym słońcu. Całkiem niedaleko dostrzegł jednak starą, rozłożystą wierzbę, a tuż za nią rozpadającą się stodołę. Drzewo rosło tuż obok dróżki ciągnącej się między polami. W jego cieniu z pewnością dało się chwilę odpocząć i dzięki temu dłużej napawać pięknymi widokami. Poza tym było to kolejne wyzwanie. Perspektywa eksploracji nowej okolicy okazała się zbyt kusząca, Edwin odbił się stopami od ziemi i pomknął na rowerze w stronę drzewa.

Bogumiła Zawłocka szybko zorientowała się, że jej wnuczek znowu gdzieś przepadł. Obiad prawie był już gotowy, więc wyszła do ogrodu poszukać Edwina. Niestety, nigdzie nie

było śladu po chłopaku. Normalnie by sobie nie zaprzętała tym aż tak głowy, gdyby nie fakt, że od samego rana była poddenerwowana. Podświadomie czuła, że coś złego wisiało w powietrzu, coś czaiło się gdzieś na skraju świadomości. I jeszcze te miny chłopów wracających z pola. Wyglądali tak, jakby zobaczyli ducha.

– Dzień dobry! – zaskrzeczał ktoś nagle nieprzyjemnym głosem.

Okazało się, że była to mieszkająca tuż obok babci Edwina pani Nowicka. Sąsiadka uniosła się znad grządek kwiatów i uśmiechnęła odrobinę bezczelnie do przechadzającej się po ogrodzie Bogumiły.

– Powinna pani lepiej pilnować wnuka! – dodała i odłożyła na bok nożyce do przycinania roślin. – Widziałam, jak kręcił się po wsi na rowerze. A słyszała pani chyba, czemu mężczyźni dziś wcześniej z pola wrócili?

– Od samego rana strasznie gorąco, to się im nie dziwię, że wrócili wcześniej.

– Nie dziwię, nie dziwię... Sąsiadko droga... – Nowicka wytarła ubrudzone ziemią dłonie w fartuch i zbliżyła się do płotu. Wyraźniej próbowała ściszyć nieco swój donośny głos, co niestety niezbyt jej wyszło. – A wie pani co oni wygadawali? Że w okolicy grasuje najprawdziwsza południca!

– Słucham? – Bogumiła uniosła brwi sceptycznie i pokręciła głową z dezaprobatą, choć znowu odezwało się w niej to niepokojące przecucie, wedle którego miało się wydarzyć coś złego. – Południcami to mnie straszyla matka, żebym była grzeczna. I ja tak samo mojego wnuczka czasami straszę, jak za daleko od domu odchodzi. Ale to przecież bujdy!

– Ja też w to nie wierzyłam. Chłopi często różne głupoty wygadują, żeby się od pracy wymigać. Ale kilka dni temu widziałam starego Zbyszka i jego straszne ślady na szyi. Ponoć przysnął na polu pod stogiem siana. Inni co prawda mówili, że był trochę napity. Pewnie dlatego sam Zbyszek nic dokładnie nie pamięta, ale coś tak mu przeorało skórę pazurami, że nie może być mowy o pomyłce! Południca jak nic! Na całe szczęście chłop jest silny jak wół, zdołał się zerwać na nogi i dobiec do wsi. Istny cud!

– Co też pani mówi... Jak go znam, to mógł niefortunnie przewrócić się na grabie. A takie upiory, to się chłopom pojawiają przed oczami jak chleją zamiast pracować!

– Wtedy ja dokładnie tak samo powiedziałam! – Pani Nowicka przytaknęła głową energicznie. – Ale dziś mój małżonek wyznał, że w kilku widzieli w oddali jak południca przechadzała się między łanami żyta. Podobno skórę miała zgniłą jak trup, a ubrana była w białą sukienkę. Sprawdziłam męża dokładnie, był roztrzęsiony, ale trzeźwy! Tu strach żyć,

ta poczwara niedługo do chat nam zacznie pukać! Ja to się dziwię, że pani może tak blisko tych przeklętych pól mieszkać. I to jeszcze sama! Toż to strach!

– Nie sama, zawsze ktoś na wakacje do mnie przyjeżdża – przerwała jej Bogumiła, wyraźnie już zdenerwowana. – Swoją drogą ciekawe, gdzie ten mój urwis się podział! Już go ostatnio musiałam z drzewa ściągać, rzut kamieniem od ostatniego płotu!

– Ja to bym na pani miejscu rozejrzała się za wnuczką. Tak na wszelki wypadek. Te miastowe dzieciaki są zawsze takie ciekawskie! Południca, czy nie, to lepiej dmuchać na zimne.

Babcia Edwina zirytowała się nie na żarty. Machnęła ręką na odchodne i pomaszerowała za dom, w poszukiwaniu wnuczka. Pani Nowicka potrafiła w zaledwie kilka minut wyczerpać jej codzienną dawkę cierpliwości. Mimo pozornego sceptycyzmu, Bogumiła Zawłocka pamiętała dawne czasy, kiedy była jeszcze malutkim dzieckiem, kiedy to podobno znajdowano czasami martwych mężczyzn w zbożu. Wtedy też ludzie krzyczeli, że to demony polne atakują nieostrożnych mieszkańców wsi.

Edwin siedział oparty o starą wierzbę, rozkoszując się okazjonalnym powiewem kojącego wiatru. Obserwował sporego kruka lecącego w jego stronę. Ptaszysko zakrakowało przeraźliwie i usiadło na gałęzi drzewa. Po chwili nadleciał kolejny kruk, a zaraz po nim trzy następne. Zaciekawiony chłopiec podniósł się na nogi, zastanawiając się, czy to wracający na pole robotnicy przepłoszyli ptaki. Zmrużył oczy i przysłonił je ręką przed słońcem, przypatrując się najbliższej okolicy. Zdawało mu się, że kogoś widzi, gdzieś daleko wśród zbóż. Była to jakaś szczupła postać w białej koszuli. A może w białej sukni? Znajdowała się zbyt daleko, żeby Edwin mógł być tego pewny.

– Babcia mnie zabije – wyszeptał nagle, zdając sobie sprawę, że pewnie już spóźnił się na obiad. Jeszcze tego tylko brakowało, żeby ktoś go tu zobaczył i później na niego doniósł.

Chłopak podniósł rower z ziemi i wsiadł na niego pośpiesznie, po czym pomknął pełną dróżką w stronę wsi. A przynajmniej tak mu się wydawało. Pierwszy zakręt w lewo, drugi w prawo... Zaraz? A może najpierw powinno być w prawo? Edwin zatrzymał się i rozejrzał uważnie po skrzyżowaniu. Był w najniższym położonym punkcie w okolicy i z tej perspektywy nie widział żadnych zabudowań, a każde wzgórze wyglądało tak samo. Szukając właściwej drogi, dostrzegł za to w oddali tajemniczą postać. Teraz nie miał już wątpliwości, była to kobieta w białej sukni. Bardzo wysoka i bardzo chuda kobieta, z siwymi włosami

rozwiewanymi przez wiatr. Stała przy starej wierzbie, przy której zaledwie chwilę wcześniej odpoczywał Edwin. Ale jakim cudem znalazła się tam tak szybko? Z jakiegoś powodu chłopak poczuł się zaniepokojony.

W końcu wybrał jedną ze ścieżek, która jego zdaniem powinna doprowadzić go z powrotem do domu babci. Ruszył, pedałując ile sił w nogach, ale z jakiegoś powodu jechał znacznie wolniej niż do tej pory. Tłumaczył sobie to tym, że był już bardzo głodny i zmęczony, ale podświadomie czuł też, że coś stara się go zatrzymać w miejscu. Posuwał się mozolnie do przodu, bojąc się obejrzeć za siebie.

Wjechał na pierwsze wzniesienie, pewny, że to jest właśnie ta górka na skraju pól, którą odwiedził na samym początku swojej wyprawy. Gdy był już u celu, z rozpaczą zauważył, że tylko oddalił się od wioski. Widział dachy domów i dym z wielu kominów. Jakim cudem tak zbłądził? Przynajmniej teraz wiedział dokładnie, w którą stronę ma jechać.

Odwrócił się, gotów zjechać we właściwym kierunku, kiedy kilkadziesiąt metrów dalej znowu zobaczył tą dziwną kobietę. Jadąc do wsi musiałby ją minąć, a to z jakiegoś powodu napawało go przerażeniem. Teraz mógł dostrzec, jak przeraźliwie chuda była nieznajoma, praktycznie sama skóra i kości. Kobieta szła powoli w jego stronę, mając dziwnie opuszczoną głowę. Zupełnie jakby węszyła niczym pies myśliwski. Siwe włosy całkiem przesłaniały jej twarz, co tym bardziej zaniepokoiło Edwina. Nie zachowywała się jak normalny człowiek. Chłopak postanowił pojechać inną drogą. Skręcił w lewo i pomknął przed siebie.

A może to tylko słońce splatało mu figla? Może to był jedynie miraż? Edwin wolał tego nie sprawdzać. Niestety opadał już z sił, droga dłużyła mu się niemiłosiernie, a słońce grzało zauważalnie mocniej. Wręcz kręciło mu się w głowie i kilka razy niemal spadł z roweru. Ścieżka, którą jechał skręciła nagle, ale chłopak nawet tego nie zauważył. Wpakował się prosto w pole pszenicy, przeokołkował kilka razy i upadł na plecy.

Po dłuższej chwili Edwin podniósł się z jękiem, czując tępy ból w całym ciele. Zaczął rozglądać się za swoim rowerem. Dostrzegł go kilka metrów dalej, więc chwiejnym krokiem zaczął przedzierać się przez kłosa. Nagle zamarł, gdyż usłyszał jakiś szelest tuż za swoimi plecami. Śmiertelnie przerażony nie był w stanie się poruszyć. Patrzył tylko kątem oka, jak czyjeś ręce rozgarniają zwartą zasłonę zboża tuż obok niego. Widział nienaturalnie blade palce i bardzo długie paznokcie. Bardzo długie i bardzo ostre paznokcie...

Tego było już za wiele. Edwin krzyknął i w panice rzucił się w przeciwną stronę. Przedzierał się przez pole jak oszalały, żałując, że zlekceważył wszystkie ostrzeżenia babci.

Jak mógł być aż tak lekkomyślny? Cały czas czuł, że ktoś biegnie tuż za nim. Zdawało mu się też, że słyszy stłumiony, złowieszczy śmiech nieznajomej kobiety.

Tylko raz odważył się spojrzeć za siebie i był to jego ostatni błąd w życiu. Potknął się przez to o kamień, którego nie zauważył w porę. Lecąc w stronę ziemi dostrzegł jeszcze długą, białą, na wpół przeżartą przez mole suknię. Widział trupa twarz wyłaniającą się spomiędzy siwych włosów. Widział też przerażające, puste oczodoły i dwa rzędy ostrych kłów...

Edwina nigdy nie odnaleziono, mimo zaangażowania wszystkich mieszkańców Starych Mogił i oddziałów policji z okolicznych miast. Po kilku godzinach poszukiwań jeden z ludzi trafił tylko na rower porzucony przy polnej ścieżce. Rolnicy znaleźli jakieś ślady w pszenicy, widać było, że ktoś próbował przedrzeć się przez pole w stronę wsi. Niestety, trop urwał się nagle, zupełnie jakby chłopak wyparował. Jedyne co znalazła policja, był strzęp białej sukni porzucony w zbożu. Po tym tragicznym dniu nikt już nie wątpił, że wokół Starych Mogił grasowało coś złego. Kiedy słońce osiągało szczytowy punkt swej pozornej wędrówki, a żar lał się z nieba, pola stawały się królestwem południcy. I każdy, kto odważyłby się pojawić tam o złej godzinie, narażał się na gniew pradawnego demona.



REKA, NOGA

Janusz Borys

Rozdział I

Doktor Jakob Granyard stał przy oknie i wspominał, starając się uciec od wszechogarniającej nudy. Właśnie w takie dni, jak ten cieszył się, że jego gabinet mieścił się w jednym z tych starych, sędziwych budynków, wzniesionych w czasach aroganckiej, wyniosłej przeszłości, która tak łatwo odeszła niemal w całkowite zapomnienie. Dzięki próżności swych poprzedników mógł teraz pławić się w niesamowitych widokach rozciągających się na południe od szpitala. Zima trzymała Norwegię w swych silnych, nieustępliwych szponach. Wszystko było białe, skute lodem i śniegiem. Piękne, ale widoczne tylko przez chwilę. Ciemności przychodziły szybko i osnuwały wszystko ponurym, tajemniczym całunem.

To właśnie przez tę ponurość, czarny, biały i szary tak wielu moich pacjentów zmaga się z depresjąomyślał, nagle zatapiając się w rozważaniach. Robert Crown. To dopiero przypadek. Apatyczny, zrezygnowany. Pozbawiony wszelkiej chęci i powodów do życia. Nie docenialiśmy drzemiącej w nim energii.

Robert był dużym facetem, ale okazało się, że szybko biega. W jednej sekundzie przeszedł gwałtowną, niepokojącą transformację. Brak chęci do życia kontrastował z wielką potrzebą zabicia się. Wbił się w wysokie na dwa i pół metra okno jak pocisk. Właśnie w tym miejscu, gdzie teraz stał doktor. Zmagający się z depresją pacjent na chwilę przestał być człowiekiem. Wyglądał niczym anioł, anioł o skrzydłach splecionych ze szklanych odłamków. Jego lot nie trwał jednak długo. Skrzydła nie poniosły go daleko, można wręcz powiedzieć, że zdradziły go, wbijając się w okaleczone ciało, gdy ten uderzył o ziemię. Wyglądało to strasznie. Otwarte złamania, szklane sztylety rozrywające tłuste ciało, wpijające się w czarne siniaki zdobiące ramiona i żebra. Krew mieszająca się ze śniegiem... w tle ponury, szary zachód słońca, smagany zawodzącym wyciem wiatru.

Pod okno podjechała karetka zakładowa, co przywróciło Jakoba do rzeczywistości. Przeszłość odeszła, błyskawicznie zastąpiona przez teraźniejszość.

— Doktorze — rzuciła sekretarka, wślizgując się do gabinetu. Przywieźli pana Baudina.

— Dziękuję, Greto. Jestem gotowy — oświadczył, jednocześnie ukrywając wzrastającą w nim ekscytację. — Proszę go wprowadzić, jak tylko zjawi się w poczekalni.

Rozdział II

Baudin był bardzo ciekawym człowiekiem, jak i pacjentem, co nie zdarzało się często. Zanim zaczęły się jego epizody, był poczytnym pisarzem, często zapuszczającym się na odległe rubieże sztuki. Świadomie porzucał realizm i w nieapologetyczny sposób sięgał po fantastkę, aby tworzyć dzieła ekscytujące nie tylko czytelników na całym świecie, ale także zachwycające krytyków literatury. No ale tak było kiedyś. Zanim... zachorował.

– Jak pan się czuje? — zapytał doktor Jakob, patrząc głęboko w oczy swego pacjenta.

Pisarz drżał, jakby było mu zimno, albo doskwierał mu nieprzejezdny narkotykowy głód. Jego rozbiegane oczy nie mogły skupić się na dłużej niż kilka sekund. Był na krawędzi. Jego kompozycja rozpadała się, dezintegrowała na oczach Granyard'a.

– Sven, Sven. — Doktor mówił rozkazującym, ale wciąż opanowanym głosem. — Spójrz na mnie Sven. Właśnie tak. Pamiętaj, co się stało ostatnim razem i jeszcze poprzednim. Pamiętaj, że to z czym się zmagasz to tylko sny. Czy mógłbyś coś dla mnie zrobić i opowiedzieć mi swoje sny? Przypomnijmy sobie co się w nich działo i jak wpłynęło to na twoje życie, dobrze?

Sven Baudin uspokoił się na chwilę. Ciemność zalegająca nad jego umysłem rozstała się na chwilę. Dla osoby postronnej mógłby nawet sprawiać wrażenie człowieka normalnego.

– Śniłem o świecie, o chorym umierającym świecie — jego głos był matowy, mechaniczny. — Spowitym bielą, gdzie śnieg lub popiół bez końca spadał z nieba. Było cicho, tak spokojnie. Ludzie i zwierzęta zasypiali na zawsze. Ciała wystawały z zasp, pozostawały tam gdzie padły. Nie było już nikogo, kto mógłby zaprowadzić porządek. Budynki, drogi... wszystko zniknęło, nie pozostał po nas nawet ślad. Jakby to wszystko było jedynie bardzo długim, męczącym koszmarem. Choć to nie koniec. Umarły też oceany i wulkany. Wszystko było ciche. Wszystko na zawsze zamarło, zamarło w pojedynczym, wiecznym momencie.

— A ten drugi sen? — wtrącił doktor, nie pozwalając, aby jego pacjent zapomniał się w sennych fantazjach.

— Drugi sen był o panu — wyszeptał Sven, jakby był pod wpływem hipnozy. — Stoi pan w nim w tym gabinecie. Patrzy przez okno, w ręce ściska pistolet, zabytkowy pistolet wyciągnięty z szuflady pańskiego biurka. Później pada strzał. Krew ścieka z szyby. Płynie w dół.

Doktor notował to wszystko. Robił to już wiele razy i za każdym razem był pod wrażeniem, wersje różniły się detalami, intensywnością. Sen o zagładzie czasami był spokojny, oniryczny, czasami brutalny i obsceniczny. Co jasno wskazywało na to, że Baudin nie kłamał, nie recytował wyuczonego na pamięć tekstu. Jego wersje wskazywały na to, że naprawdę śnił, to o czym tu teraz mówił.

— Czy te sny były prawdziwe? — naciskał Granyard. — Czy musisz się ich obawiać?

Długa chwila milczenia sprawiała, że obaj słyszeli wiatr zawodzący na zewnątrz, słyszeli zmarznięty śnieg walący w okna.

— Pamiętasz, co się stało, gdy przywieziono cię za pierwszym razem?

Oczywiście, że pamiętał. Był na krawędzi, próbował zabić żonę i dzieci. Próbował ich uwolnić, oszczędzić im tego, co miało nadejść.

— Sven, czy pamiętasz?

— Te sny. Pan nie rozumie.

— Czy były, aż tak prawdziwe?

Sven zaśmiał się gardłowo i otarł łzę spływającą mu po policzku.

— Pan nie rozumie. Te sny nie wydają się prawdziwe. Po pierwszym... po pierwszym śnie poczułem, jakby to on był prawdą, jego esencja przelała się tutaj, a to, co było przedtem, na zawsze się zatarło. Czuję się, jakbym wcale się nie obudził.

Granyard patrzył jak Baudin traci kontakt z rzeczywistością. Działo się to po raz trzeci i za każdym razem stawało się coraz bardziej niebezpieczne. Twarz jego pacjenta dziczała, szczęki zaciskały się, zgrzytały zęby., Baudin miał wzrok utkwiony w jakiejś niesamowitej, obcej zdrowemu człowiekowi pustce. Doktor wiedział, że Sven właśnie burzy ścianę, raz po raz uderza w mur oddzielający normalną psychikę od tego, co znajduje się za nią. Mur, który raz zniszczony, już nigdy nie może powstać na nowo.

— Sven, proszę, wróć do mnie. Opowiedz mi.

— Opowiedzieć? — zazgrzytał prawie nieludzkim głosem. — Dobrze. Opowiem. Widzę norweskie fiordy, słyszę ryk wodospadów. Otacza mnie pustka, chłód i wiatr chłłoszcze mi twarz, ale nie przejmuję się tym. Patrzę w górę i widzę. Widzę to.

— Co widzisz Sven? — dopytywał podniecony doktor.

— Są wielkie. Wyłaniają się z szarego nieba. Schodzą powoli, jakby bojąc się, że w wannie jest wrzątek.

— Kto się wyłania? Baudin... Baudin!

Granyard zerwał się ze skórzanego fotela i przypadł do wijącego się na ziemi pacjenta, przytrzymał jego ramiona i potrząsnął nim mocno. Przywracał go, ratował przed czymś, co przebudzało się za jego oczami, w labiryntach upośledzonego mózgu.

— Kto się wyłania Baudin?

— Ręka i noga! Długie, blade kończyny łączące pionowym mostem niebo i ziemię. Widziałem wiele kolan i łokci, wyrastających z każdej monstrualnej kończyny.

Doktor pomógł pacjentowi usiąść, wygładził koszulę, krawat i kremową marynarkę.

— Ręka i noga — komentował, ukrywając wstrząsający nim zawód. — Ręka i noga.

— Na początku nikt nie wierzy w to, co się wydarzyło. Ludzie drwią i bagatelizują obecność kończyn.

Ciekawe dlaczego? Zadrwił w myślach doktor.

— Później każdy uważa, że wie, co się dzieje. Religie mają swoje wyjaśnienia, politycy mają swoje, społeczeństwo swoje. Chaos, niezgoda powoli, ale nieubłaganie pogrąża świat w ciemności.

— A potem?

Milczenie. Sven zakończył swoją opowieść i jak zawsze zapatrzył się w okno. Jakby czekał, aż ręka i noga w tej chwili zstąpią z nieba, aby spełnić jego sen. Zamienić szaleńca w proroka.

— Myślę, że ten sen najdobitniej pokazuje, na czym polega twój problem Sven — rozpoczął swój atak na bastiony obłądu Granyard. — Widzisz to, prawda? To tylko sny. Nie ma w nich ukrytego sensu ani niczego co czyniłoby nas wyjątkowym. Pomyślmy o tym. Podsumujmy to raz jeszcze, dobrze? Pierwszy sen miałeś, gdy przyjechałeś do Tromsø. Śniłeś o zimie, pustce, która jest tutaj wszechobecna. Drugi sen miałeś, gdy poznałeś mnie, po przyjeździe do szpitala, kiedy zacząłem cię leczyć. Musiałeś dowiedzieć się tu od kogoś o moim pistolecie, o mojej pamiętce i ten detal znalazł odbicie w twoim śnie. Czy rozumiesz, o co mi chodzi?

Baudin skinął głową bez przekonania.

— To tylko sny — wydusił z siebie.

Doktor westchnął poirytowany i ściągnął okulary z nosa, aby rozmasować oczy.

— Nie wierzysz mi — skwitował chłodno. — Dobrze, dobrze, nie zaprzeczaj. Widzisz, ty jesteś człowiekiem o niesłychanej, plastycznej wyobraźni. Rozumiem, czemu jesteś tak zaklęty mocą swoich snów, ale mogę ci coś powiedzieć. Coś, co być może zmieni twoje zdanie.

Sven Baudin ożywił się, pochylił w fotelu i z zainteresowaniem zapatrzył w skupioną, poważną twarz Granyard'a. Mierzyli się ze sobą spojrzeniami kilka minut, wiatr znów o sobie przypominał, jego siła jeszcze się wzmocniła. Okna drżały pod naporem żywiołu. Drżały, jakby sam budynek nie mógł opanować swego podekscytowania.

— Ja też miałem sen — wyznał w końcu doktor. Wpatrując się w swoje wielkie okna, jakby coś wspominał lub zastanawiał się, czy dobrze zrobił, wyznając prawdę. — Noga i ręka. Blade i kościste, opadające na ziemię przy wtórze huku i drżenia, które później przemieniło się w trzęsienie ziemi, odczuwalne w całej Norwegii. Oczywiście nikt nie wierzył. Wszyscy śmiali się, bagatelizowali sprawę. Snuto teorie spiskowe. We śnie widziałem ludzi w zadymionych pokojach, popijających kawę i szeptem rozmawiających o ręce i nodze. Sprawy nie dało się jednak ignorować bez końca. Było coraz więcej zdjęć, coraz więcej nagrań. Teolodzy, filozofowie i naukowcy byli zobligowani wyrazić swoje opinie. Dojść do jakiegoś konsensusu, uspokoić opinię publiczną. Bez końca zbierano dane, kłócono się o sens dziwnego wydarzenia. Każdy miał coś do powiedzenia. I choć wszyscy byli zaangażowani, nikt niczego nie robił. Świat się kończył, a ludzie po prostu dyskutowali.

Obaj mężczyźni pogrążyli się w milczeniu. Baudin zaniemówił z wrażenia, zastanawiając się, czy jego lekarz drwi z niego, robi sobie żarty z przekleństwa, które stało się jego udziałem. Wpatrywał się długo w spokojną, opanowaną twarz psychologa, ale nie mógł z niej niczego odczytać. Tajemnice jego umysłu pozostawały skrzętnie ukryte, poza zasięgiem nawet najbardziej przenikliwego obserwatora.

— Co to znaczy? — odważył się w końcu Baudin.

— Dobrze wiesz, co to znaczy — skwitował spokojnie doktor. — To nic nie znaczy. Nie ma żadnych absurdalnych rąk ani nóg schodzących z nieba. Świat się nie kończy. Wszystko jest pod kontrolą. Wszystko jest dobrze.

— Nie możesz mieć pewności.

— Muszę mieć pewność — wypalił Granyard. — Inaczej równie dobrze mógłbym się zabić, rozumiesz? To, że ja czy ty mieliśmy taki sen, nie oznacza, że to się wydarzy. Musimy aplikować pewne ogólnie przyjęte normy. Inaczej świat pogrąży się w szaleństwie i chaosie.

Sven siedział z otwartymi ustami. Nie wiedział już co powiedzieć. Przedtem uważał doktora za konstant, spokojny port, w którym mógłby zebrać siły. Widział w nim człowieka, który mógłby przywrócić komuś normalność. Teraz to się zmieniło. Teraz...

— Nasz czas dobiegł końca, panie Baudin — oświadczył doktor, jednocześnie coś notując w zeszycie. — Wydaje mi się, że powinien pan spotkać się także z psychiatrą, kto wie, może będzie potrzebne leczenie tutaj w zakładzie.

— Panie Granyard...

Porozmawiamy następnym razem. Za chwilę zjawi się tu pan Crown. Jego przypadek jest dla mnie priorytetem. Może pan nie słyszał, ale dochodzi do siebie po strasliwym wypadku.

Rozdział III

Wyprowadzono go przed klinikę pod eskortą, jakby był jakimś niebezpiecznym więźniem. Karetka już odjechała. Granyard orzekł, że zagrożenie minęło. Nie było potrzeby mieszać w sprawę służb. Przynajmniej na razie.

Taksówkarz stał plecami do ciemniejących gór i odległej zatoki. Palił papierosa, przyglądając się ciekawie Baudinowi. Wyglądał, jakby zastanawiał się, czy jego klient okaże się wariatem, czy może był po prostu zwykłym człowiekiem. Nie można było mu się dziwić. W końcu zakład miał swoją reputację.

Baudin chciał coś powiedzieć, gdy nagle to zobaczył. Nie były tak wyraźne, jak we śnie. Opadały powoli, skryte za szarymi chmurami, ale to były one. Jego serce zabiło szybciej. Na twarzy pojawił się szalony, szeroki uśmiech.

Nie jestem wariatem. Nie jestem wariatem! Jestem p r o r o k i e m! Pomyślał, pogrążając się w ekstazie.

Śmiał się. W końcu przekonał się, że strach, okrutny, miazdzący strach wyłaniający się z jego snów nie był bezcelowy. Ten strach był prawdziwy, sny były prawdziwe, wszystko było prawdziwe jak to, co teraz widział. Zdziwiony tym wszystkim taksówkarz odwrócił się w końcu. Zaczął przeklinać po norwesku, papieros wypadł mu z dłoni.

— Doktorze! krzyknął Baudin, patrząc w okno gabinetu Granyard'a. — Doktorze, one tu są!

Błysk i huk były niemal jednoczesne. Sven i taksówkarz podskoczyli ze zdziwienia. Ściany i okno, nie wytłumiły odgłosu strzału. Obaj mężczyźni stali oniemiałi i patrzyli na krew spływającą po szklanej powierzchni.

Żaden z nich nie mógł zobaczyć dziwnych skurczy przebiegających przez nogę i rękę, które właśnie dotknęły ziemi.



TEATR CIENI

Aleksandra Konefał

Bomby spadały na pogrążone w żałobie miasto. Dźwięk kościelnych dzwonów już dawno umilkł, a najwyższa z jego wież, przyozdobiona starym, powyginanym krzyżem, runęła poprzedniej nocy. Pył unosił się jeszcze nad stertą kamieni i średniowiecznych cegieł, gdy Franz powoli wspinał się na wzniesienie. Minał w milczeniu gruzowisko i nie zatrzymał się nawet wtedy, gdy jego stopy zahaczyły o roztrzaskaną figurę Matki Boskiej.

Był potwornie zmęczony. Nie spał od dwóch dni, za schronienie wybierając coraz to bardziej nieprzystępne i odosobnione zakamarki wyburzonych kamienic. Od kilku dni nic nie jadł, a wodę zastąpiła mu deszczówka, wypełniająca okoliczne rowy i powstałe po niedawnych ulewach kałuże.

Do porzucenia dotychczasowego azylu, w dawnym warsztacie szewskim, zmusiła go obecność żołnierzy, którzy nieopodal zrobili sobie obozowisko. W obawie, że zostanie zauważony, pozbierał w pośpiechu resztki prowiantu i czym prędzej ruszył w drogę. Zapasy skończyły mu się jednak już po kilkunastu godzinach i od tamtej pory snuł się po ulicach, szukając odpadków pozostawionych przez ludzi opuszczających miasto. Nie było tego wiele. W jednym z kontenerów, na tyłach byłej szkoły, znalazł opróżnioną do połowy puszkę sardynek. Były zepsute, ale zjadł je za jednym posiedzeniem, popijając wodą ze starej studni. Rozboleł go po nich brzuch, ale obecnie oddałby wszystko, by zjeść choć jedną.

Od dawna nie widział też nigdzie żywej istoty. Czasem miał wrażenie, że poza nim i żołnierzami wroga nie ma na świecie już nikogo. Nikt nie przetrwał. Został sam na tej opuszczonej, spalonej przez Boga ziemi. Przeklinał dzień, w którym pierwsze bomby spadły na miasto. Ogłoszenia, które słyszał w radiu okazały się ponurą rzeczywistością, a nie jedynie czczymi pogroźkami, jak jego przyjaciele zwykli je nazywać. Teraz wszyscy już nie żyli. Własnoręcznie wyciągał spod gruzów zmasakrowane ciało Petera, a gdy jego towarzysz nie otworzył już oczu, zapłakał wreszcie gorzko nad losem wszystkich poległych.

Czy to nasza wojna?, zadawał sobie pytanie, ale znikąd nie doczekał się odpowiedzi. Zamiast tego nadeszła jesień, przynosząc ze sobą odór palonych ciał i swąd zwęglonych budynków.

Nie wiedział już, jak długo tak idzie. Krok za krokiem, stawiał ostrożnie stopy i uważał by na nic nie nadepnąć. Nie chciał dać żołnierzowi wroga satysfakcji ze złapania jeszcze jednego samotnego wędrowca. Doskonale wiedział, co robili z takimi jak on. Zapraszali do gry w karty, mamili obietnicą ciepłego posiłku, a gdy odwróciłeś się do nich plecami, strzelali ci w głowę. Widział tych, którzy stracili w ten sposób życie. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Każde z nich było równe przed obliczem Boga w pancernym czołgu, każde czekał prędzej czy później ten sam koniec.

Popołudniowe słońce przedzierało się nieśmiało przez zalegające nad miastem czarne chmury, a lodowaty wiatr chłostał go bezlitośnie po twarzy. Otulił się szczelnie resztkami tego, co kiedyś było całkiem porządnym płaszczem i skrył się w cieniu jednego ze zniszczonych budynków. Miał nadzieję, że zdąży znaleźć dach nad głową zanim ulewa rozpocznie się na dobre. Pojedyncze krople już odznaczały się na zdewastowanych chodnikach.

Zmierzało, gdy w końcu udało mu się trafić na względnie bezpieczne schronienie. Zrujnowany budynek niegdyś tętniącej życiem piekarni nadawał się do zamieszkania równie dobrze jak zdezelowana szopa, obok której chwilę wcześniej przechodził, ale w porównaniu z pozbawioną dachu rudera, ta wydawała się całkiem przytulna.

Podczas próby sforsowania zabitych deskami drzwi, rozorał sobie przedramię wbitym głęboko gwoździem. Syknął, gdy ostrze tępego bólu przecięło mu skórę. Krew chlusnęła na spodnie i zabarwiła na czerwono zbutwiałe drewno, ale mimo to nie poddał się i ostatkiem sił naparł na nie jeszcze bardziej. Wreszcie deski ugięły się pod ciężarem jego wynędzniałego ciała i Franz wraz z resztką tego, co kiedyś było drzwiami, runął jak długi do środka.

Gdy jego wzrok przyzwyczaił się do panującego wewnątrz półmroku, mężczyzna podniósł się z ziemi i omiótł wzrokiem pomieszczenie. W powietrzu unosił się kurz i pył, a sklepowe półki były puste. Na kontuarze stała przykryta zieloną folią kasa, z której od długiego czasu nikt nie korzystał. Charcząc i plując, pokuśtykał w stronę zaplecza piekarni, licząc na to, że może tam znajdzie resztki czegoś, co nadawałoby się do jedzenia. Niczego jednak nie znalazł, ale udało mu się zrobić prowizoryczny opatrunek ze starej szmaty, która wisiała na haku za drzwiami. Rozdarł ją na pół i obwiązał dookoła świeżej rany. Ukłucia tępego bólu raz za razem przeszywały mu ramię, a gdy zacisnął dwa końce materiału i uformował z nich supeł, poczuł jak robi mu się słabo. Uływ krwi był niewielki, ale Franz od dziecka reagował lekką paniką na widok czerwonej posoki. Wstydził się tego, ale uczucie to było silniejsze od niego.

Dawna piekarnia była pusta. Nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek tu pomieszkiwał, toteż Franz zabrał się za szykowanie legowiska. Ucieszył się w duchu na myśl, że przynajmniej tę noc spędzi osłonięty od deszczu i chłodu. Każda poprzednia przypominała niekończącą się udrękę. Wlewające się przez podziurawione dachy kamienic strugi deszczu skutecznie przeganiały sen, a gdy zbliżał się poranek, wstawał cały przemoczony i zziębnięty.

Zsunął z ramienia plecak i wygrzebał ze środka zmechacony koc. Ułożył go na brudnej podłodze, po czym ściągnął płaszcz i kładąc się na ziemi, przykrył się nim aż po uszy. Mimo tego drobnego zabezpieczenia, chłód przenikał całe jego ciało, podkurczył więc nogi, chowając pod płaszczem bosc stopy. Stare, podniszczone buty postawił tuż obok głowy.

Na dworze rozszalała się nawałnica. Wielkie krople deszczu zawzięcie bębniły o dach piekarni. Poirytowany Franz podniósł się z posłania, pogrzebał w plecaku i wyciągnął z niego niewielki rondel. Powlókł się w stronę drzwi frontowych, uchylił je i wystawił naczynie na zewnątrz. Przez chwilę stał i obserwował jak woda zaczyna je wypełniać. Uśmiechnął się smutno i wrócił na zaplecze. Leżał długi czas, wsłuchując się w jednostajny ryk wiatru.

W końcu jego powieki opadły i zapadł w niespokojny sen. Prześladowały go wspomnienia ostatnich tygodni. Krwawe obrazy mieszały się w jego umyśle ze scenami wyjętymi z poprzedniego życia. Widział we śnie dawny dom, pełen martwych ciał swoich bliskich. Ich puste oczy wpatrywały się w niego widmowymi spojrzeniami, a on stał pośrodku

niczego i krzyczał tak głośno, że kłębiące się nad nim chmury robiły się coraz ciemniejsze, aż w końcu skumulowana w nich elektryczność eksplodowała, zasypując ziemię gradem ognistych kul. Świat płonął, ziemia wchłonęła krew tak wielu istot, że jej nadmiar spłynął do rzek i zabarwił szkarłatem mętne wody.

Franz krzyczał przez sen, rozlegające się na zewnątrz grzmoty wreszcie go wybudziły. Poderwał się gwałtownie z posłania, ciężko dysząc. Drżącą dłonią otarł z twarzy pot i z lękiem rozejrzał się dookoła. Nie był sam. Intuicyjnie wyczuł w pomieszczeniu obecność jeszcze jednej istoty. Myśl ta zmroziła go do tego stopnia, że nie był w stanie się ruszyć.

Ciche westchnienie rozległo się tuż obok i dopiero wtedy Franz zareagował:

– Kto tu jest? – zawołał niepewny, z której strony może nadejść odpowiedź.

Ale odpowiedź nie nadeszła. Zamiast tego do jego uszu doleciał nieznaczny szmer, po którym nastąpiła seria trzasków, a następnie odgłosów, których nie potrafił do niczego przypasować. Na sam koniec usłyszał cichutkie tupanie, które przeniosło się z zaplecza do głównej części piekarni i tam ustało.

Franz siedział na swoim posłaniu jak sparaliżowany. Bał się, że jakikolwiek ruch spowoduje, że upiorne dźwięki znów się pojawią i tym razem już nie zamilkną. Gdy tak dumiał i rozmyślał, cisza zalegająca nad jego schronieniem znów została zakłócona. Najpierw rozległ się grzmot, a zaraz po nim piekarnię wypełnił rozdzierający płacz dziecka.

Czym prędzej wybiegł z zajmowanej przez siebie izdebki i zatrzymał się w pobliżu drzwi wejściowych do budynku. Przez maleńkie okienko wpadały smugi światła, mógł więc rozejrzeć się dookoła. Z początku niczego nie dostrzegł, ale gdy jego wzrok przyzwyczaił się do panujących ciemności, jego uwagę przykuło małe zawiniątko w pobliżu kontuaru. Gdy podszedł bliżej, by lepiej mu się przyjrzeć, zawiniątko drgnęło i wcisnęło się w kąt. Mężczyzna zadrżał, gdy żalosne kwilenie ponownie przerwało ciszę. Cofnął się gwałtownie, w popłochu szukając czegoś, co mogłoby rozproszyć ciemność. Niczego takiego jednak nie znalazł i skazany został wyłącznie na słabe pasma księżycowego światła, które powoli wydobyły z mroku zarys skulonej sylwetki.

Wystraszony Franz wycofał się ostrożnie w stronę drzwi, nie spuszczać wzroku z maleńkiej istoty, która zakłóciła jego sen. Nie miał wątpliwości, że ma przed sobą zwyczajne dziecko. Odrzucił od siebie myśli o upiorach i demonach, które przez ułamek sekundy zaświtały w jego głowie. Takie rzeczy przecież nie istniały. *To żywych należało się bać*, upomniał sam siebie.

Stał bez ruchu przez dłuższą chwilę i pozwolił, by płacz dziecka umilkł. Gdy piekarnię ponownie wypełniła senna cisza, coś za kontuarem zaszeleściło i cichutko poczłapało w jego

kierunku. Szara poświata na moment rozświetliła twarz dziecka i oczom Franza ukazała się mała dziewczynka o wielkich, szklistych oczach. Przycupnęła tuż obok sterty zakurzonych kartonów i ze zdziwieniem wpatrywała się w wynędzniałego mężczyznę. Pomimo panującego dookoła mroku Franz spostrzegł, że skóra dziewczynki ma ciemniejszy odcień niż jego.

– Co tu robisz, mała Cyganeczko? – wychrypiął Franz. Dźwięk jego własnego głosu nieco go zaskoczył. Minęło sporo czasu odkąd rozmawiał z żywą istotą.

Dziewczynka go nie rozumiała. Mogła mieć około dziesięciu lat, ale wyraz przerażenia malujący się na jej ubrudzonej buzi świadczył o tym, że nie zrozumiała zadanego jej pytania. Wielkie, błyszczące oczy błędziły po twarzy mężczyzny. Spojrzenie było tak intensywne, że Franz zmuszony był spuścić wzrok. Nie lubił dzieci. Nigdy nie wiedział jak się zachować w ich obecności. Zupełnie jakby posiadały jakąś magiczną zdolność czytania w jego umyśle. Nie lubił tego uczucia.

– Nie masz pojęcia co do ciebie mówię, prawda? – przerwał niezręczną ciszę, ale ponownie nie doczekał się odpowiedzi. – Myślałem, że piekarnia jest pusta – zaśmiał się. – Ale jak widać ktoś był tu na długo przed nami i ogołocił wszystkie półki. Smutne czasy nastały, Cyganeczko – rzucił melancholijnie. Dziewczynka poruszyła się i nieznacznie przysunęła do przodu. Bała się obcego mężczyzny, ale jego obecność najwyraźniej wzbudziła w niej ciekawość.

– Jakim cudem udało ci się przeżyć? – Franz kontynuował swój monolog. – Dobrze wiem, co robią z takimi... z takimi jak ty. Twoi rodzice pewnie dawno już odeszli. Do waszego domu weszli pewnego dnia żołnierze i po prostu ich zabrali, prawda? Ale ty, cwana istotko ukryłaś się gdzieś na strychu i w milczeniu czekałaś aż sobie pójdą. Słyszałaś krzyki, nawoływania matki, ale wiedziałaś, że jedynym sposobem, żeby przetrwać było wyrzec się wszelkich ludzkich odruchów i udawać, że już cię nie ma. Że nie istniejesz. Podobnie było ze mną. Zabrali całą moją rodzinę, ale ja przetrwałem. Zniżyłem się do poziomu, do którego nie zniżają się nawet szczury, byłem w miejscach, z których się nie wraca, ale mimo wszystko przetrwałem. I wiesz co, mała Cyganeczko? To piekło kiedyś się skończy. Nadejdą dni, że znów ujrzymy czyste niebo. Wolne od spalin, dymu, a w powietrzu nie będzie już smrodu palonych ludzkich ciał.

Cichy szelest. Zaintrygowana dziewczynka przysunęła się bliżej i tym razem Franz nie odwrócił wzroku. Plamy księżycowego światła przedzierającego się przez gęste chmury oświetliły jej wychudzoną twarz, pozlepiane, ale dość długie włosy i jeszcze coś. Coś, co dziewczynka ścisnęła kurczowo w prawej ręce. Mały plecaczek i wybrudzoną lalkę, której upiorna twarz zmroziła Franza i spowodowała, że jego ręce pokryły się gęsią skórą.

Widywał takie pacynki na targach staroci, w czasach, gdy jeszcze istniał świat na zewnątrz. Uliczni kramarze lubili wystawiać na sprzedaż przedmioty znalezione w opustoszałych domach. Po śmierci właścicieli nie było nikogo, kto mógłby się zaopiekować pozostawionym przez nich inwentarzem, toteż sterty bibelotów i nikomu niepotrzebnych pamiątek lądowały na porozkładanych na trawnikach starych gazetach i trafiały w ręce miłośników antyków.

Zawsze znalazł się ktoś, komu akurat zamarzyła się niebieska, szklana rybka, bądź staromodna lampka z wyświechtanym abażurem. Lalki, takie jak ta, Franz widywał przeważnie porzucone w koszach pełnych sentymentalnych drobiazgów, które tak lubiła jego żona. Zabawka była brzydka i Franz uznał, że nie różni się niczym od dziesiątek podobnych, jakie widywał na targach staroci. A jednak było w niej coś niepokojącego i mężczyzna nie wiedział, czy uczucie to spotęgował wyraz jej twarzy, czy może okoliczności, w jakich się pojawiła. Słabe światło wydobywało z ciemności jej kredowobiałą twarz i duże, czarne oczy. Usta rozciągnięte miała w delikatnym uśmiechu, ale po jej policzku spływała ogromna, czarna łza. Wargi pociągnięte były delikatną czerwienią, która zdążyła już się lekko powycierać, a główkę laleczki zdobiła maleńka czarna czapeczka.

– Widzę, że znalazłaś sobie przyjaciela – rzucił krótko Franz, wskazując na lalkę. W odpowiedzi dziewczynka ścisnęła mocniej swój dobytek i przygarnęła go do siebie. W plecaku coś donośnie zachlupotało.

– Zapytałbym cię jak długo już tu jesteś, ale obawiam się, że mi nie odpowiesz – mówił dalej Franz. Próbował odwrócić uwagę od wpatrującej się w niego upiornej laleczki. – To naprawdę fascynujące, jak takiej małej istocie udało się przeżyć. Przecież dookoła aż roi się od żołnierzy. Ja sam z trudem się tutaj przedostałem, a mam trochę więcej lat niż ty – zachichotał, a jego nerwowy śmiech odbił się echem od ścian piekarni. Gdy umilkł, odgłos bębniących o dach kropel deszczu wypełnił ciszę.

– Niech pada – ciągnął Franz. Jego wzrok błędził po skrytym w mroku suficie. Dziewczynka wpatrywała się w skupieniu w mężczyznę. – Przynajmniej wody nam nie zabraknie. Chwilowo – dodał i ostrożnie usiadł na pokrytej kurzem podłodze. – Boisz się mnie. To dobrze – stwierdził. – Strach jest dobry. Wskazuje ci drogę i pokazuje, czego unikać. Choć czasem nie dopuszczamy go do głosu – zachichotał i tym razem zaciśnięte usta dziewczynki lekko drgnęły. Czyżby i na nich pojawił się cień uśmiechu? – Przestraszyłaś mnie. To nic przyjemnego obudzić się ze świadomością, że jest się obserwowanym.

Tym razem Franz już wyraźnie widział na wargach Cyganki nikły uśmiech. Wielkie oczy wpatrywały się w niego tak intensywnie, że przez jego głowę przemknęła niepokojąca myśl, że dziewczynka chyba zapomniała już jak się mruga. Przechyliła lekko głowę

i zlustrowała go kolejnym, niezbyt przyjemnym spojrzeniem. Trzymana przez nią laleczka z cichym plaśnięciem upadła na podłogę.

– Chyba zgubiłaś przyjaciela – mruknął Franz, by przerwać ciszę. Wahał się przez chwilę, po czym sięgnął ręką w stronę pacynki i ostrożnie ujął ją palcami. W dotyku była ciepła i miękka. Satynowe ubranko, w które była ubrana, pomimo wilgoci i brudu uzmysłowiło mężczyźnie, że się pomylił. Zabawka musiała sporo kosztować. Aż dziwne, że dziewczynce do tej pory udało się ją zatrzymać. Gdyby mała Cyganka natknęła się na żołnierzy, nie miałyby tyle szczęścia. Odebraliby jej wszystko co posiadała, a ją samą potraktowaliby tak samo jak wszystkich tych nieszczęśników, którzy szukali u nich ratunku. Gdyby też dziewczynka była starsza i wiedziałyby jak obracać się w skomplikowanym świecie dorosłych, miałyby szansę pozbyć się pacynki w zamian za inne dobra, które pozwoliłyby jej przeżyć.

Franz zdusił w sobie pragnienie przywłaszczenia sobie drogocennej laleczki. Gdyby na zewnątrz nie było tak niebezpiecznie, zabrałby Cygance zabawkę i poszukał kogoś, kto zechciałby ją od niego odkupić. Ale w obecnej sytuacji nie chciał jeszcze bardziej narażać się na kontakt z wrogiem. A samotny, starszy mężczyzna próbujący sprzedać kosztowny przedmiot z pewnością zwróciłby na siebie uwagę.

Zacisnął mocniej palce na laleczce i zerknął na jej posągową twarz. Czarna łaza zastygła na białym policzku, w połowie drogi do uniesionego, lewego kącika ust. Nie był w stanie stwierdzić, czy artysta, który wykonał lalkę wykreował ją na chłopca czy dziewczynkę. Delikatne rysy twarzy wskazywały raczej na płć żeńską, ale czarna, charakterystyczna czapeczka nadawała postaci chłopięcego uroku. Zresztą, czy nie słyszał już gdzieś wcześniej o teatralnym bohaterze, który nie będąc w stanie znaleźć ukojenia wskutek nieszczęśliwej miłości, przeobraził się właśnie w bladolicęgo męczennika, czekającego w nieskończoność na ukochaną? Nie potrafił sobie przypomnieć imienia postaci.

Mała Cyganka obserwowała go w skupieniu. Jej wielkie oczy zaszyły mlecznobiałą mgłą, ale gdy Franz zamrugał, wrażenie to zniknęło równie szybko, jak się pojawiło. Odgłosy szalejącego na zewnątrz deszczu zaczęły jeszcze bardziej przybierać na sile, pasma światła wpadającego przez brudne okna ulotniły się i nad piekarnią znów zaległa gęsta, przytłaczająca ciemność.

Coś się zmieniło w nieruchomym powietrzu. Franz nie widział już twarzy wpatrzonyj w niego dziewczynki. Na wprost jego oczu majaczył pofalowany kształt, składający się na niewyraźny zarys czarnej sylwetki. Oddychała ciężko, co jakiś czas pociągając nosem, a gdzieś w oddali, być może w małej izdebce przylegającej do piekarni rozległ się cichutki

chrobot, a następnie seria niewyraźnych trzasków, postukiwań, która wreszcie umilkła i do uszu Franza dotarło nierówne tykanie zegara, którego musiał wcześniej nie zauważyć.

Puls mężczyzny nieznacznie przyspieszył. Nie lubił ciemności. Od dziecka go przerażała i w jednej sekundzie powrócił do niego obraz małego chłopca chowającego przezornie stopy pod grubą kołdrą, w obawie przed wędrującymi nocą upiorami. Poruszył się niespokojnie, a wtedy siedząca przed nim dziewczynka zrobiła to samo. Wyczuł jej obecność. W obawie przed ciemnością, przysunęła się bliżej mężczyzny.

– Za kilka godzin wzejdzie słońce – odezwał się cicho Franz. Powiedział to jednak bardziej do siebie, próbując nadać swojemu głosowi spokojny ton. Jednak serce w jego piersi tłukło się jak oszalałe, próbując ostrzec go przed czyhającym w mroku niebezpieczeństwem. *Ale nie ma tu nikogo poza mną i tą małą Cyganką*, upomniął w myślach sam siebie. Skąd więc wzięło się to nagłe uczucie trwogi? Nie groziło im przecież nic poza chłodem i wilgocią przedzierającą się przez szpary w podziurawionym zadaszeniu.

Dziewczynka znów zaczęła płakać. Nie było to już jednak upiorne kwilenie, które odpędziło od niego resztki snu. Był to cichutki, pełen bezradności płacz, który w ostatnich miesiącach Franz słyszał nad wyraz często. Ścisnął trzymaną w rękę pacynkę i z odrazą rzucił ją przed siebie. Jej porcelanowa główka rozbiła się o ścianę, a odgłos głuchego uderzenia zawisł na moment w powietrzu. Cyganka przestała płakać i nabrała powietrza.

– Wybacz, dziewczyno – rzucił krótko Franz. – Ta lalka przyniosłaby ci więcej szkody jak pożytku. Poza tym, jej twarz była tak przeraźliwie smutna. Niby jak mogłaby przynieść komukolwiek ukojenie? Powinnaś bawić się lalkami, które są uśmiechnięte – prychnął i zaniósł się śmiechem. Przez chwilę jego własny rechot zagłuszył odgłos kropel deszczu. Zagłuszył nawet ten dziwny, niepokojący chrobot.

Dziewczynka się nie śmiała. Widząc zmianę w zachowaniu Franza wycofała się powoli w stronę kontuaru. Przycupnęła gdzieś w ciemnościach, w miejscu, do którego nie sięgał wzrok mężczyzny i obserwowała go dalej, w milczeniu.

Ale Franz nie przestawał się śmiać. Brzuch go rozboleł, a mimo to nie potrafił przestać. Widok roztrzaskanej główki porcelanowego marzyciela skruszył w nim coś, co rozsypywało się od dawna.

– Myślisz pewnie, że jestem wariatem! – krzyknął w przerwie między jedną salwą śmiechu a drugą. – Ale ja ci powiem kto tu tak naprawdę zwariował. Oni wszyscy! – ryknął. Tym razem wybuchowi hysterii towarzyszyły łzy. Potoczyły się po policzkach Franza, a on sam ze zdumieniem otarł oczy wierzchem dłoni, nie rozumiejąc skąd się wzięły.

– I nawet nie jestem smutny, dziewczyno – śmiał się dalej. Widzisz? Przecież gdybym był smutny, to nie byłoby mi teraz tak wesoło. Musisz przyznać, że to ogromne szczęście, że na siebie wpadliśmy. Siedziałaś tam sama w ciemnościach, z tą paskudną lalką, a teraz masz mnie. Na krótką chwilę, ale jednak – zarechotał z własnego, niezbyt udanego żartu i nagle umilkł. Chęć do śmiechu przeszła równie szybko jak się pojawiła. Jej miejsce zajęła wściekłość i Franz poczuł jak nagromadzona frustracja próbuje znaleźć ujście. Otarł oczy i wstał.

– Gdzie jesteś, Cyganecko? – zawołał śpiewnym tonem. – Pokaż co tam masz w tym małym plecaku. Może pomogę ci uwolnić się od jeszcze jednego maszkarona? No nie bój się, chodź do mnie – zacmokał, ale nie doczekał się odpowiedzi. Zamiast tego podejrzany chrobot znów rozległ się w sąsiedniej izbie. Franz poczuł jak zimny dreszcz przebiega mu po plecach.

– Nie ma się czego bać – powiedział do siebie. – Potwory przecież nie istnieją. To wymysł naszej fantazji. Bajeczka, którą karmią niegrzeczne dzieci.

Gdy podejrzany dźwięk przybrał na sile, Franz skrzyżował ramiona na piersi i postąpił kilka kroków w przeciwną stronę. Było coś dziwnie niepokojącego w tych odgłosach. Do alarmów bombowych zdążył się już przyzwyczać i z czasem nauczył się traktować je jak błogosławieństwo, które tyle razy uratowało mu życie. Teraz jednak nie był pewien skąd, i czy w ogóle powinien spodziewać się zagrożenia.

Dziwne światełko zamigotało w mroku i Franz był pewien, że musiało mu się to przywidzieć. Udręczony umysł płatał mu figle, bo przez jedną krótką chwilę miał wrażenie, że jakaś mała, świetlista istota mruga do niego z oddali. Puszczą oczko, ale zaraz potem je zamyka i na wszystko opada ciemna kurtyna. Znów się roześmiał, ale po chwili umilkł, bo dotarło do niego na co właściwie patrzy.

To wcale nie fantastyczne twory migotały w ciemnościach. Dokładnie na wprost okna wisiało wielkie owalne lustro w złocistej ramie. Musiał wcześniej go nie zauważyć. Stanowiło dość niecodzienny element wystroju piekarni i Franz nijak nie potrafił pojąć skąd się tam wzięło i jakim cudem nie wpadło jeszcze w ręce rabusiów. I dlaczego za pierwszym razem go nie zauważył? Tak bardzo rzucało się przecież w oczy...

Jako dziecko czytał bajki. O królewnach, które traciły rozum, bo zbyt długo przyglądały się swojemu odbiciu w lustrze. O zakochanych w sobie młodzieńcach, którzy tonęli wskutek nieuwagi, zapatrzony w kolor swoich własnych tęczy. Ale Franz nienawidził samego siebie. Nienawidził tego, kim był zanim zaczęła się wojna i nienawidził tego, czym się stał, gdy zmuszony został do porzucenia resztek swojego człowieczeństwa. Gdyby nie migotliwe lustro, skrzyłby kark małej Cyganeckce, tak jak zrobił to z młodym

listonoszem, który przyniósł mu owiniętą w papier pajdę chleba. Nie mógł znieść litości w jego oczach. Żalu odbijającego się w czarnych źrenicach. A to przecież nie jego wojna. Dlaczego więc ludzie mu współczują? Powinni żałować sami siebie. On sobie zawsze świetnie radził.

Powierzchnia lustra była krystalicznie czysta pomimo kurzu gęsto pokrywającego pomieszczenie. Widok ten zafascynował Franza. Dziewczynka nagle gdzieś zniknęła. Przestał o niej myśleć, już jej nie szukał. Pochłonął go widok, który ukazał się jego oczom, gdy zbliżył się do gładkiej tafli. Ostatni raz przeglądał się w lustrze nim pierwsze bomby spadły na miasto. Ale wtedy nie przywiązywał większej wagi do tego, jak wygląda. Poranna toaleta kończyła się zawsze równie szybko, jak się zaczynała, a własne odbicie stanowiło bardziej jeden z elementów jej układanki. Dopiero teraz, stojąc w ciemnościach zrujnowanej piekarni, z odgłosami bębniącego deszczu i dziwnymi chrobotami w tle, uzmysłowił sobie, że zobaczył sam siebie po raz pierwszy w życiu.

Jego włosy były pozlepiane i długie, a sięgająca klatki piersiowej broda splątana. Wyglądał niechlujnie i niczym nie różnił się od reszty podobnych mu uciekinierów. Tym, co go jednak zafascynowało, były jego własne oczy. Franz wyteżał wzrok w ciemnościach i usiłował im się przyjrzeć. Gdzieś przecież musiał być ich zarys, kształt i wielkość źrenic. Ale niczego takiego nie zobaczył.

To wszystko dlatego, że jest tak ciemno, pomyślał.

Ale pomimo oblepiającego go mroku, twarz w lustrze była dziwnie oświetlona, blada i bardzo wyrazista. I te oczy... Widział, że tam są. Absurdem byłoby w ogóle pomyśleć, że został ich pozbawiony, bo przecież patrzył na samego siebie, mrugał i widział przed sobą obraz. Tyle, że ów obraz z minuty na minutę stawał się coraz bardziej nierzeczywisty. Twarz Franza robiła się coraz bardziej groteskowa. Zarost jakby zniknął, a jego miejsce zajęła gładka, niemal przezroczysta skóra, tak jasna, że mężczyzna uniósł dłoń, by jej dotknąć, ale zaraz zrezygnowany opuścił dłoń i tylko stał i patrzył na rozgrywający się na jego oczach makabryczny spektakl.

Postać w lustrze nie była już Franzem. Miała zupełnie inne rysy twarzy, pozbawiona była włosów, a jej łysa czaszka wydawała się nienaturalnie mała.

Aż się prosi, żeby założyć jej jakiś kapelusz, przemknęło mu znów przez myśl.

Ale postać w lustrze zdawała się niewzruszona tym, co właściwie myśli sobie Franz. Jej myśli były jego myślami, a jej ruchy jego ruchami. Zupełnie, jakby byli jednym i tym samym.

Deszcz przybrał na sile i łomot uderzających o dach kropel wzmógł się jeszcze bardziej. Woda wlewała się do środka piekarni przez szczeliny w dachu i w ścianach. Franz znów zaczął się śmiać. Chorobliwie, szyderczo. Postać w lustrze się nie uśmiechała. Była poważna. Wąskie, blade usta miała zaciśnięte, a Franz wreszcie dostrzegł jej oczy. Małe, lekko ukośne, z czarnymi jak noc tęczęwkami. Przerażliwie smutne.

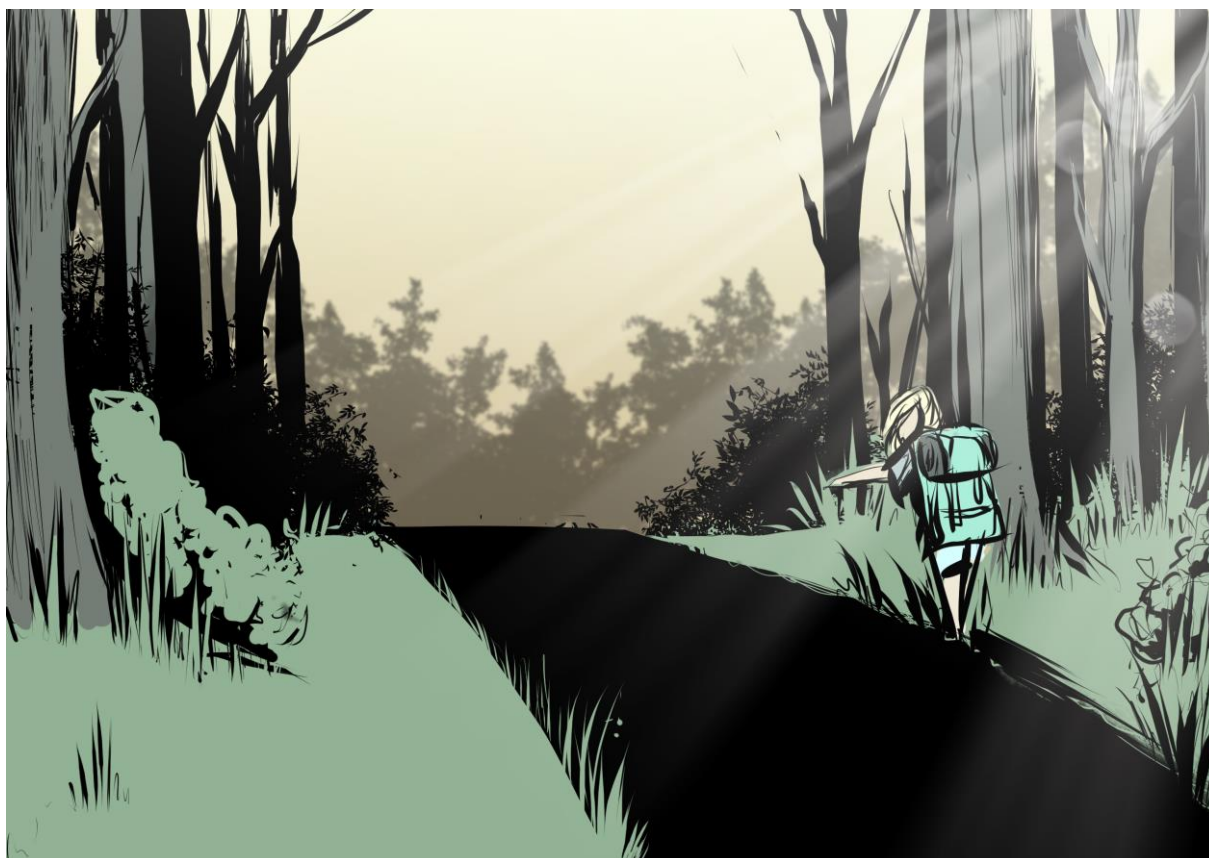
Nagle w budynku zrobiło się bardzo zimno. Chłód i tak dokuczał Franzowi niezmordowanie od momentu, gdy tylko przekroczył próg piekarni, ale to, czego teraz doświadczył sprawiło, że całe jego ciało pokryło się gęsią skórą i zanim zdążył się zorientować, cały się trząsał. Postać w lustrze mrugnęła do niego. Albo tak mu się przynajmniej zdawało. Coś dziwnego pojawiło się na jej twarzy. Tuż pod lewym okiem. Coś ruchliwego i żywego. Coś, co czarną smugą płynęło po gładkim policzku i zatrzymało się nieopodal kącika ust. Franz w tym momencie oprzytomniał i cofnął się, uderzając plecami o zamknięte drzwi. Postać w lustrze nie oddaliła się wraz z nim. Była w tym samym miejscu, co poprzednio.

Deszcz bębnił zawzięcie o dach. Każde uderzenie zamieniało się powoli w łomot. Franz nie mógł oderwać oczu od istoty w lustrze. Jej białe, poważne oblicze go zahipnotyzowało. Nagle coś ciepłego otarło się o jego prawą nogę. Wzdrygnął się i niechętnie oderwał wzrok od lustra. Mała Cyganezka przycupnęła obok niego. Wielkie, błyszczące oczy wlepiła w twarz Franza. Usta, pełne małych, ostrych ząbków miała rozchylone. Uśmiechała się. Ale nie był to miły uśmiech zagubionego dziecka. Była w nim kpina i jawne szyderstwo. Franz nie był na nią zły. Śmiertelne przerażenie odebrało mu resztki odwagi, i gdy dziewczynka złapała go za nogę i przywarła do niego całym ciałem, strząsnął ją z siebie i w ostatnim, desperackim odruchu złapał za klamkę.

Na dworze nie było zimno. Ziąb, który zmusił go do szukania kryjówki w zniszczonej piekarni nagle się ulotnił, a jego miejsce zajęła chmura gorąca, paląca skórę i trzewia.

Gdzieś w oddali wyła syrena, a świat dookoła niego płonął.

A potem wszystko spowiła ciemność.



WKRÓTCE BĘDĄ ICH MILIONY

Adrian Iwaniak

Spod kół jeepa wydobywały się tumany kurzu. Auto pędziło leśną drogą, zagłuszając rykiem silnika ciszę zielonego miasta, czemu wtórowały głośnie riffy *Raining Blood*. Palce kierowcy rytmiczne uderzały o kierownicę. Gdy wyprowadził pojazd na szosę, przez moment oślepił go blask popołudnia, toteż szybko skrył oczy za okularami przeciwsłonecznymi, po czym pociągnął łyk pepsi.

Tego dnia było naprawdę gorąco. Temperatura osiągała prawie trzydzieści pięć stopni, przez co pod pachami kierowcy utworzyły się wyraźne plamy potu. Oliwkowa koszula

utraciła swą świeżość już po pierwszym kwadransie jazdy, za to starannie wyprasowane spodnie pozostały w nienagannym stanie.

Kiedy minął kolejny zakręt, ujrzał w oddali niską blondynkę samotnie spacerującą poboczem. Sporych rozmiarów plecak z karimatą sprawiał wrażenie dość ciężkiego, ale dziewczyna żwawo stawiała kroki, nie zwalniała tempa. Na widok nadjeżdżającego jeepa odwróciła się, wyprostowała rękę i uniosła kciuk.

Mężczyzna przetarł spoczone czoło, uchylił okno, a następnie ściszył muzykę. Auto zaczęło zwalniać, a kiedy koła zjechały z drogi, ustało złowrogie ryczenie dobiegające spod maski.

– Dzień dobry! Zabierze mnie pan ze sobą? Próbuję dostać się do Zamościa.

Kierowca ściągnął okulary. W pierwszej chwili nie odpowiedział. Zlustrował tylko dziewczynę od stóp po czubek głowy, by zaraz potem pociągnąć nosem i wzruszyć ramionami. Następnie machnął ręką i odparł:

– Niezbyt mi po drodze, ale mogę podzucić cię pod miasto. Wsiadaj do tyłu.

Blondynka uśmiechnęła się szeroko i niemal w podskokach ruszyła ku drzwiom, wrzuciła do środka bagaże oraz usadowiła się na wygodnym siedzeniu.

– Zapnij pas – nakazał.

– Dziękuję, że się pan zatrzymał. Od pół godziny próbuję złapać stopa. Jestem Weronika.

– Bartosz – odrzekł kierowca dość niechętnie.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Za oknem majaczyły drzewa i krzewy, kładąc cienie na pustą drogę.

– To służbowy samochód? – zapytała blondynka.

– Tak.

– A te kraty to po co? Pracuje pan w schronisku?

– Nie. Robię dla nadleśnictwa w regionalnej dyrekcji lasów państwowych. To auto terenowe, a że często przewozimy ranne zwierzęta lub psy patrolowe, mamy zamontowaną taką ochronę w pojazdach. Tak na wszelki wypadek, gdyby zwierzęta stały się agresywne.

Dziewczyna skinęła głową i odkręciła butelkę z wodą, z której pociągnęła kilka łyków.

– To musi być ciekawa praca. Całe dni w lesie, na łonie natury. Świeże powietrze, piękne widoki...

– Powiedzmy – odparł mężczyzna, po czym włączył kierunkowskaz i skręcił w lewo na skrzyżowaniu. Nie próbował ciągnąć tematu; nie lubił rozmawiać o pracy.

Po chwili znaleźli się na dziurawej drodze, więc auto zwolniło do trzydziestu kilometrów na godzinę.

– To już mój piąty dzień w podróży – wypaliła blondynka. – Wyruszyłam z Zamościa do Częstochowy, a teraz wracam do domu. Znajomi z kółka różańcowego namówili mnie na taką samotną pielgrzymkę. Wie pan. Tylko ja, Bóg i moje myśli.

– Mhm, rozumiem. Nie boi się pani tak sama podróżować?

– Nie. Ludzie zazwyczaj są uprzejmi i chętnie mi pomagają. Czasem ktoś poczęstuje jedzeniem, zaoferuje nocleg, a jeszcze inni, jak pan, podwiozą do miasta.

– Mimo wszystko to niebezpieczne. Nie wiadomo, co może stać się po drodze.

– Owszem, ale wiem, że czuwa nade mną anioł pański.

Kierowca westchnął głęboko i zadudnił palcami o kierownicę. Nie miał ochoty na dalszą dyskusję. Tym bardziej że sam nie był wierzący.

Minęło kilka minut ciągnących się ślimaczym tempem, a z każdym kilometrem przepocona koszula wydzielala coraz intensywniejszy odór. Aby zamaskować zapach, mężczyzna uchylił lekko okno i zaciągnął się świeżym powietrzem.

– Często pan zabiera autostopowiczów? – Dziewczyna nie pozwalała kontynuować milczenia. Bartoszowi powoli zaczynało to przeszkadzać.

– Nie. Tylko gdy moje maleństwa są głodne.

– Maleństwa? W sensie... pana dzieci? – Głos dziewczyny zadrżał.

– Nie. Moi mali podopieczni.

Weronika zaskoczona uniosła brwi, a potem nagle sposepniała.

– Chyba nie rozumiem – odparła.

– Spokojnie, zaraz będziemy na miejscu. Wszystkiego się dowiesz.

– Jak to? Przecież do Zamościa zostało jakieś dwadzieścia kilometrów. O co chodzi?

– Moje maleństwa nie jadły nic od tygodnia. Są głodne, wiesz? Nie chcę, aby przez to były na mnie złe. – Mężczyzna powiedział to z wyraźną troską. Wydawał się szczerze zakłopotany, jakby w danej chwili nie liczyło się nic poza tym.

– Przepraszam, ale... Czy może się pan zatrzymać? Dotrę do miasta już sama. Dziękuję za podwózkę.

Nie odpowiedział. Podkreślił tylko muzykę, a potem spojrzał dziewczynie głęboko w oczy przez lusterko wsteczne i uśmiechnął się szeroko, jakby chciał w ten sposób przekazać dobrą nowinę.

– Już dojeżdżamy, nie bój się.

Weronika poczuła, jak drętwieją jej nogi. Instynktownie chwyciła klamkę, lecz drzwi zdawały się zablokowane. Zadrżała.

– Nawet nie próbuj. Wymontowałem mechanizm od wewnątrz – odparł kierowca. – Już mi nie uciekniesz.

– Co? Ale jak... Proszę mnie wypuścić! Dlaczego pan to robi?! – Szept przerodził się w krzyk.

– Już mówiłem. Moje małeństwa są głodne, a ty wyglądasz nad wyraz apetycznie.

Nastolatka przełknęła głośno ślinę, a jej oczy zrobiły się wilgotne od łez. Chciała krzyknąć, zwrócić na siebie uwagę, lecz strach ścisnął jej gardło z siłą imadła. Tym bardziej że w okolicy nie było ani jednego zabudowania, ani żywej duszy. W panice uderzyła kilkakrotnie w kratę odgradzającą ją od kierowcy, lecz jedynie zdarła sobie skórę na knykciach. Nie mogąc opanować emocji, zdołała wydusić z siebie tylko:

– J-jakie m-małeństwa?

Mężczyzna uśmiechnął się szyderczo.

– Niedługo sama się przekonasz.

Pierwsze, co wyczuła po otwarciu oczu, to smród gnijącego mięsa. Chwilę później jej nozdrza wypełnił również zapach czegoś, co z początku przypominało zbutwiałe drewno, a następnie przerodziło się w odór zatęchłej kanalizacji. W pomieszczeniu panował nieprzyjemny chłód, który w połączeniu z fetorem wywoływał na jej drobnym ciele fale dreszczy. Bolały ją plecy, głowa i kark, a dłonie miała tak zeszywniałe, że ledwo była w stanie poruszać palcami.

Z trudem uniosła głowę. Nie był to dobry pomysł, gdyż od razu oślepiło ją jaskrawe światło żarówki, która delikatnie kołysała się pod sufitem pod wpływem przeciągu. Nim umysł zdążył oswoić się z bodźcami, zdała sobie sprawę z bezwładności swojego ciała. Szarpnęła się z wysiłkiem, lecz pasy na kostkach i nadgarstkach trzymały mocno, niemal z siłą metalowych łańcuchów.

– Obudziłaś się wreszcie. – Z oddali dobył się spokojny, męski głos.

– Gdzie... gdzie j-ja jestem?

– Spokojnie, nic nie mów. Oszczędzaj siły.

Dziewczyna pokręciła głową i zamrugała kilkakrotnie.

– C-co się s-stało? C-co mi z-zrobiłeś? – dodała po chwili milczenia.

– Przepraszam. Musiałem pozbawić cię przytomności, bo za głośno krzyczałaś. Nie mogłem przecież pozwolić, abys zenerwowała maleństwa. One są takie delikatne.

– M-moja głowa...

– Niedługo dojdiesz do siebie, ale przez jakiś czas możesz odczuwać nieprzyjemne efekty po chloroformie. To minie, nie martw się tym. Przysięgam, że zrobię wszystko, aby nie sprawić ci bólu. Zaufaj mi.

Mężczyzna wykonał dwa powolne kroki w przód.

– Z-zostaw mnie! Nie możesz... – Weronika cedziła przez zęby. Każde słowo wymagało od niej ogromnych pokładów energii.

– Ciii... Po co te nerwy? – przerwał jej. – Już dobrze, opanuj emocje. I tak już nie możesz nic zrobić. Dlatego proszę, nie sprawiaj problemów, a obojgu nam wyjdzie to na dobre. Musimy współpracować, wiesz? Ja potrzebuję ciebie, ty potrzebujesz mnie. Czyż to nie uczciwa relacja?

Weronika załkała, choć ledwie miały siły, by łączyć słowa. Za wszelką cenę chciała uwolnić się z więzów, nawet gdyby musiała odgryźć sobie kończyny. A przynajmniej takie myśli wypełniały jej otumaniony umysł. Rozejrzała się po ciasnym pomieszczeniu i dostrzegła cztery wiszące na hakach ciała, zgniłe i sztywne. I przez jedną krótką chwilę wydawało jej się, że pod ich skórą coś... pełza.

– Czego ode m-mnie chcesz?

W odpowiedzi napastnik uśmiechnął się szeroko, rad widać z usłyszanego pytania.

– Chcę obdarować cię najwspanialszym darem, jaki mogłabyś otrzymać. Nie bój się, to nie potrwa długo.

Mężczyzna skierował kroki bliżej ofiary, a gdy jego postawna sylwetka wyłoniła się z mroku i stanęła w blasku żarówki, Weronika dostrzegła, że trzymał on w dłoniach słoik. Duży, brudny słoik, w którego wnętrzu coś się poruszyło.

Zaczęła wierzgać, próbując poluzować trzymające ją pasy, ale jedyne, co zdołała osiągnąć, to zaczerwienienia na nadgarstkach, które momentalnie pokryły się krwią. Z jej gardła wydobył się stłumiony jęk, a oczy rozwarły szeroko, ale nic więcej nie mogła zrobić.

Tymczasem napastnik obszedł dziewczynę i chwycił ją za włosy, a następnie włożył do ust stalowe szczęki, które unieruchomiły jej zuchwę. Potem, nie tracąc ani chwili, stanął tuż przed nią i nieśpiesznie odkręcił słoik.

Dziewczyna poczuła, jak jej serce niemal wrywa się z piersi, a obraz ciemnieje przed oczami. Kończyny drżały od panującego w piwnicy zimna, po skórze spływały krople potu. Lecz to wszystko było niczym od otępienia, który zawładną jej ciałem, gdy z wnętrza słoika

wyłoniły się najpierw dwa, a później pozostałe sześć pajęczych odnóży kroczych, które powoli skierowały się w stronę jej pulsującego gardła.

Zdrętwiała. Bała się nawet drgnąć, co tylko ułatwiło stworzeniu drogi ku twarzy. Delikatne ruchy i odczucie przesuwającego się po obojczyku ciężaru prawie pozbawiły ją przytomności, a mimo to pozostała świadoma. Czula na skórze każdy dotyk, każdy ruch odwłoka i odnóży gębowych, które z tej odległości przypominały nożyce ogrodowe.

Mężczyzna zaś patrzył na nią spode łba, nie mogąc nacieszyć się widokiem swojego maleństwa. Sprawiał wrażenie, jakby ogarniała go swego rodzaju duma, jakby od dawna czekał na ten moment. Tym bardziej ucieszył go fakt, że pajak bez trudu wypełznął między wargi ofiary, czym utorował sobie drogę do nowego domu. Do miejsca, które niedługo stanie się jego głównym źródłem pożywienia.

Bartosz od dzieciństwa fascynował się pajakami. Trudno stwierdzić, skąd wynikało to zainteresowanie, ale z pewnością sprawiało mu ono mnóstwo frajdy. Już jako ośmioletni chłopiec posiadał w swojej kolekcji dwa ptaszniki: jednego z rodzaju *Brachypelma*, którego nazwał Maniek, drugiego zaś – *Grammostola* o imieniu Szalek. Gdy tylko mógł, wpatrywał się w nie godzinami, marząc o wyhodowaniu w przyszłości całej pajęczej rodziny. Rodzice na całe szczęście podzielali jego nietuzinkowe hobby. Gorzej było natomiast z rówieśnikami. Zarówno w podstawówce, jak i później na studiach, koledzy traktowali go jak dziwaka, jakiegoś odludka, który od imprez i spotkań ze znajomymi preferował towarzystwo tych, jak określali, potworów. Prawdopodobnie to właśnie podczas studiów zwykła fascynacja przerodziła się w obsesję i Bartosz na stałe odciął się od ludzi.

Mimo wszystko wciąż próbował nawiązywać relacje, ale jak nietrudno się domyślić, z kobietami również nie radził sobie najlepiej. Nawet kiedy udawało mu się zaprosić jakąś do siebie, ta szybko uciekała, gdy dowiedziała się o hodowli liczącej blisko czterdziestu dorosłych osobników. Kobiety najzwyczajniej w świecie się bały i nie dzieliły zainteresowań mężczyzny, który powoli tracił nadzieję.

Dlatego też Bartosz w pewnym momencie życia całkowicie oddał się hodowli. Sprowadzał również coraz to egzotyczniejsze gatunki, a osobniki, które niemal całkowicie pochłonęły jego dom, można było liczyć w setkach. Z czasem skupił się głównie na najgroźniejszych i najjadowitszych pajakach, przy czym odkrył, że wyjątkowo agresywne odmiany lubują się w mięsie. Dlatego też testował najróżniejsze gatunki i skrupulatnie

selekcjonował te, które wykazywały największą krwiożerczość. Z czasem odkrył również możliwości dark webu, a mozolne sortowanie nielegalnych aukcji zaowocowało zakupem specjalnego gatunku pajaków, o którym nie pisano nawet w podręcznikach arachnologii.

Zapewne dlatego, że lubowały się w ludzkim mięsie.

Najprzyjemniej pracowało mu się ze słuchawkami na uszach. Nawet kiedy nabijał na hak swoje ofiary, w głowie szumiały mu metalowe klasyki lat 90-tych. Jego maleństwa natomiast lubiły ciszę i spokój, tak aby bez skrępowania móc konsumować wciąż jeszcze żywy posiłek. Dlatego zwykle Bartosz najpierw wrywał język, a później blokował jamę ustną czymś dużym. Zazwyczaj kneblem lub wilgotną szmatą. Dzięki temu pająki musiały przegryźć się przez wnętrzości, by utorować sobie drogę na zewnątrz. Oczywiście ofiary nie były wtedy przytomne. Nagły ruch mógł zaszkodzić maleństwu, a przecież nie można było pozwolić, by coś im się stało. Musiały wyrosnąć duże i silne, a przy tym stale łaknące krwi.

W ciele Weroniki znajdowało się obecnie około setki małych osobników plus dojrzała matka, którą Bartosz wpuścił jako pierwszą. Jej zadanie było proste. Miała przekonać dzieci do smaku ludzkiego mięsa, tak aby od urodzenia sądziły, że mięśnie, skóra i wnętrzości stanowią ich jedyne źródło pożywienia. Przy okazji musiała je także chronić – wszak kwas żołądkowy był dla pajaków zabójczy. Dlatego uczyła je przebijać się do innych części ciała, w tym do mózgu i serca ofiary. Ona natomiast nauczyła się tego od swojej matki, kiedy jako maleństwo wykluła się z jaja we wnętrzu zbłąkanego nastolatka, wracającego stopem z jakiegoś festiwalu muzycznego.

Łańcuch zabrzączał na kołowrotku, a kiedy hak uniósł bezwładne ciało, Bartosz przetarł spocone czoło i westchnął głęboko. Jego fartuch aż lepił się od krwi. Niemniej jednak przebywał w piwnicy na tyle długo, że jego nozdrza przyzwyczyły się już do zapachu zgnilizny oraz zakrzepłej posoki, toteż nie odczuwał tak silnie panującego smrodu.

Już miał zgasić światło i udać się w stronę schodów prowadzących na zewnątrz, gdy niespodziewanie poczuł na ramieniu delikatny dotyk. Powoli odwrócił głowę, a kiedy zdał sobie sprawę z powodu poruszenia, uśmiechnął się radośnie i zmrużył powieki.

– Esmeraldo, znowu wydostałaś się z terrarium? Och, ty moja buntowniczo. Niby taka mała, a taka niesforna.

Pająk, jakby w odpowiedzi, skierował się bliżej ucha i subtelnym ruchem odnóży pogłaskał Bartosza po karku.

– Spójrz, moja droga. Czyż to nie piękny widok? – zapytał, po czym odwrócił się od schodów i leniwie przeszedł po piwnicy, w której wisiało pięć zakrwawionych ciał. Podeszedł najpierw do znajdującego się najbliżej niego – do resztek drobnej, na oko dwudziestoletniej dziewczyny, z której pozostał jedynie korpus, głowa oraz lewa ręka. Następnie nachylił się nad nią i wciągnął nosem zatęchłą woń truchła.

– Już niedługo, kochanie. Miesiąc, dwa i będą nas tysiące, rozumiesz? Tysiące braci i siostr, gotowych na moje rozkazy. A z czasem rozrośniemy się do dziesiątek tysięcy, a nawet milionów! Czyż to nie piękna wizja?

Pająk ruszył w kierunku gardła swego pana i zaklekotał szczękoczułkami.

– A ty będziesz jedną z nich. Jedną z części mojego legionu. Cholera! Pożalują ci, którzy śmiali się ze mnie i wytykali palcami. Pożalują każdej obelgi i żartu. Nie będzie w ich domach miejsca, w którym nie znajdzie się nasz żołnierz. Razem zasiejemy strach w sercach wszystkich gnębicieli. A potem pozostaniemy tylko my... Ja oraz moja pajęczna armia.

WYBAWICIEL KOCIAKÓW

Bartłomiej Malinowski

Nic nie obrazowało poprzedniego systemu lepiej niż polskie przedszkola; nawet same brwi Breżniewa.

Budynek ukazywał warstwowo każdą systemową zmianę, jaką przeszło państwo w końcówce minionego wieku. Sama ulica, gdzie utworzono przedszkole nr 4, stanowiła geologiczny przekrój kłodzkiej skały czasu, nosząc kolejno nazwy: Gartenstrasse, Adolf Hitler Strasse, Aliantów, aż wreszcie – 16 maja 1996 roku – zwała się już urzędowo ulicą Bohaterów Getta.

Przedszkole, w formie i kształcie, przypominało poniekąd samochód marki polonez – konstrukcja była kwadratowa, z nieco trapezowatym dachem, funkcjonalna, aczkolwiek nazwać ją ładną oznaczało chęć zadania urazy wielbicielom estetyki lub postępującą ślepotę odbiorcy. I podobnie jak w starym FSO nikt nie wprowadził tu również w odpowiednim czasie potrzebnych zmian, przez co sprawność i komfort użytkowania, zmuszonych spędzać tu czas, *volens nolens*, również się nie poprawiły. Przedszkole spełniało zatem swoją rolę, ale do ideału brakowało mu jakieś pięćdziesiąt cztery lata reform i rozwoju; dokładnie tyle, ile dzieliło rok '45 i '89.

Obiekty edukacji przedszkolnej powstawały w Polsce w czasach, kiedy dobrami narodowymi w kraju były głównie propaganda i ukochany przez cały blok wschodni, darzony przez komunistów większym uczuciem, niżli Chruszczow obdarzył był kukurydzę, lubiany i wylewany od Czarnobyli po zachodni kres wschodniego Berlina, zbrojony beton. Obiektów użyteczności publicznej nie tworzą z myślą o konkretnej użyteczności. Miały być obszerne, wielopokojowe i uniwersalne – sprawdzać się, jak (przynajmniej w założeniu jego twórców) poprzedni ustrój, na każdym terytorium i w każdym czasie.

Budynek przedszkola przy ulicy Bohaterów Getta był więc masywny, wręcz zwalisty; kanciasty jak złożony karton, o dachu płaskim jak wykres rozwoju kraju w latach, w których je stawiano. Temu podobne obiekty i żłobki rozprzestrzeniały się w miastach jak szara opryszczka wchłaniająca kolejne partie zdrowej skóry. Tworzono ich swojego czasu jedno za

drugim, żeby (zgodnie z oficjalnym przekazem i mądrością etapu), choćby na czas pracy, zdjąć z pleców rodziców młodą latorośl, by we wspólnym czynie mieli czas zgodnie budować socjalistyczną gospodarkę, w kontrze kolektywnie rozumianemu, „skisłemu zachodowi”. Drugą stroną medalu, część o niemożności wyrwania się z klasy robotniczej i brak możliwości na awans społeczny oraz w jakiegokolwiek innej dziedzinie, pomijano wtedy w przekazie.

Główny nurt projektowania społeczeństwa był wtedy równie prosty, co budowanie familoków: dorosły na osiem godzin zniknął w zakładzie pracy, więc należało dostosować do jego trybu pracy również i potrzeby dnia. Nie można było pozostawić go z rozmyślaniami samemu, bo nawet tyle wolności mogło – Na rany Gagarina! – przyczynić się w narodzie polskim do wyklucia się paskarstwa, knucia, kułactwa i spiskowania przeciwko jednemu słusznemu ustrojowi. Zakład pracy musiał więc zatem zapełniać człowiekowi większą część dnia, by ten się nie nudził. Z nudy, bowiem, rodziły się jedynie problemy.

A skoro człowiek przebywał w pracy przez większą część dnia, należało zapewnić również zajęcie ich pociechom. A gdzieżby lepiej rozpocząć indoktrynację, jak nie właśnie w przedszkolu? Dwie pieczenie na jednym ogniu.

Aborcja była w tych czasach dopuszczalna, wręcz społecznie przyzwolona, mimo bogoboju wychowania narodu. Potocznie zwano ją wtedy zaledwie *zabiegiem*. Tę część społeczeństwa, której nie wyszarpano z macic, trzeba było wychować w duchu określonych wartości. Pracę tę należało więc zacząć już – O, na Prusa! – u podstaw.

Nie dało się wystawić pochodu pierwszomajowego w żłobkach. Nawet tak tęgie umysły jak osmrodzone wypalanymi carmenami zaplecza KCPZPR musiały zrozumieć, że wpajanie jedynych słuszych zachowań rozpocząć się może dopiero w p r z e d s z k o l u; do budowy chwały „prawdziwego socjalizmu” swoją cegielkę dołożyć musiał, by plan wypalił, każdy – rodzice przez sumienne wytwórstwo sznurka do snopowiązałki, dzieci przez leżakowanie i grzeczną konsumpcję cynaderek.

„W czym ma pokrycie dolar? W złocie! A złoty polski? W cynie! W cynie? W cynie społecznym!”

Kawał, fakt, miał już dziś brodę. Nie taką jednak znowu długą, bo roku '96 od '89 nie dzieliła znowu taka wielka odległość. Zarówno mentalna, jak i czasowa.

Przedszkola miały zazwyczaj dwie kondygnacje i zewnętrzny plac zabaw. Całość otaczano pstrokatym ogrodzeniem ze spawanych prętów w kolorze podstawowych odcieni olejnej farby – żółtym i niebieskim (barwnik ten był łatwy do dostania). Zieloną farbę otrzymywano ze zmieszania dwóch poprzednich. Czerwoną można było dostać, wymieniając

dwie pierwsze w dowolnej remizie, choć i tam czasami zwyczajnie jej brakowało. Swoją drogą – O, ironio! – co za czkawka historii, że w latach 80-tych brakowało w Polsce czerwonego.

Ogrodzenie placu zabaw musiało spełniać trzy wymogi: miało być barwne (mimo, że na tle wszechobecnej szarości nawet odcień psiej kupy prezentował przyjemny kontrast), wystarczająco wysokie, by nie przeskoczył go przeciętny pięciolatek, posiadać przesła wystarczająco wąskie, by takowy berbec nie zdołał się między nimi precyzyjnie przesuwać. Musiało być jednak na tyle niskie, by przechylony rodzic mógł uściskać nad nim swoją pociechę, zanim o piętnastej zabierze dziecko do domu.

Maj był przyjemnie ciepły. Jedyne miesiące, kiedy człowiek nie smażył się na zewnątrz jak schabowy na niedzielnej patelni i nie zamarzał jak wystane w kolejce mięso rzucone feralnie do szerokiej zamrażarki MORS.

Termometry wskazywały 35°C. Oczywiście żaden z przedszkolaków nie umiał odczytać temperatury, a nawet jeśli, nie potrafiłby skorelować odczytu z obecną pogodą. Powiedziałby raczej coś w stylu: *Golqco!*. Od pięciolatka trudno było o lepsze określenie, jeśli żaden był z niego Charles Wallace.

Delikatny zefir sprawiał jednak, że odczuwalna temperatura zdawała się o kilka stopni niższa, przez co piąty miesiąc w roku był wyjątkowo przyjemny dla polskiego organizmu. Zarówno dzieci (które nie znały się jeszcze przecież na kalendarzu, potrafiły za to powiedzieć kogo przedstawiało zdjęcie łysego pana w czarnych oprawkach powieszonych pod godłem orła bez korony w głównej sali przedszkola) jak i dorośli, czuli zgodnie, że zbliżały się wakacje.

Ciepło rozbudzało w ludziach radość. Na placu zabaw uśmiechniętym pięciolatkom towarzyszyły tego popołudnia doborowe humory. Przedszkolanki (szczególnie te niemłode, bo wdzięczne co maj, że Święto Pracy, gdy w przeddzień należało było wystroić dzieci na Pochód Pierwszomajowy), nie miały powodów, by nie lubić miesiąca między kwietniem, a czerwcem. W dowolnej chwili (poza czczonym jak sacrum leżakowaniem) mogły bowiem zebrać dzieci w pary i wyprowadzić na zewnątrz, gdzie nagrzane południowym słońcem skrzypiące huśtawki, świecące rdzą karuzele i koniki z zepsutymi siedziskami tylko czekały, żeby przepalić pociechom na tyłkach dziurę wielkości patelni i stopić skórę do mięsa, gdy tylko użyły którejś z atrakcji.

Zebrać włosy córki w kucyk było najprościej i najszybciej, przynajmniej zanim nabrało się wprawy w macierzyństwie. Dopóki dziewczynka była jeszcze malutka, śmiało

mogła nosić chłopięcą fryzurę. Schody zaczynały się dopiero, gdy codziennie rano trzeba było uczesać córce włosy w cokolwiek, co określić można było cywilizowaną fryzurą.

Kucyk był najlepszym rozwiązaniem, względnie dwa kucyki: wymierzyć przedziałek i spętać włosy u dołu dwiema gumeczkami. Opcją pośrednią był pojedynczy warkocz, który na pewnym etapie macierzyństwa matki zaplatać potrafiły nawet z prędkością pięciu centymetrów na sekundę. Najbardziej czasochłonnym, upodobanym sobie zatem jedynie przez matki zajmujące się domem, dla których ósma nie oznaczała godziny rozpoczęcia pracy, a start Wiadomości na TVP1, TV4, Polsat, TVN i TV Puls, był „kłos”.

W ostatniej z wymienionych przedszkolnie akceptowalnego czesania, włosy należało dobierać nie „z ręki”, a kolejno „z głowy”, układając z kosmyków kształt zboża – fryzura nienagannie ładna, wytrzymała, łącząca tradycję z nadciągającym z zachodu postmodernizmem lat dziewięćdziesiątych. Dla kobiet pracujących owy splot był jednak zwyczajnie zbyt czasochłonny, by zaplatać go codziennie rano. Dlatego mała Zuzia biegała dziś po placu zabaw z dwoma prostymi warkoczami podskakującymi na plecach.

Mama Zuzi pracowała w starostwie, w wydziale geodezji. Nie miała zatem czasu plątać córce włosów w zmyślnie fryzury. W nowych realiach inteligencja pracująca, na to i na wiele innych przyjemności, z braku czasu nie mogła sobie pozwolić. Jeśli na wojnie pierwszą ofiarą jest prawda, w rodzącym się dopiero kapitalizmie jest nią czas.

– Pani Kasiu?

Zuzia podbiegła do ławki przedszkolank, trzymając się za brzuch.

– Tak, Zuziu?

– Przypilnuje mi pani?

Wyjęła z szerokiej kieszeni na brzuchu zawinięte w przezroczystą serwetkę kruche ciastko z podwieczorku. Gdy po obiedzie dawano im dwa ciastka, zjadała jedno, żeby drugie zanieść mamie. Gdy rozdawano im jedną tylko sztukę (na przykład szeroki piernik w czekoladowej polewie), zjadała połówkę, drugą część zostawiając dla mamy, zawiniętą bezpiecznie w serwetkę.

– Zuziu, kochanie, tłumaczyłam ci. Dlaczego nie zostawisz ciasteczka dla mamy w szafce?

– Boję się, że ktoś mi je zje. Musiałabym go wtedy pilnować i bawić się tylko blisko szafki. Nie mogłabym wyjść na dwór. Z panią jest bezpieczny, pani Danusiu. – Zbliżyła się i przytuliła do nogi przedszkolanki, kładąc jej policzek na kolanie. – Może zostać u pani? Boję się, że pokruszy się, jak będę biegać... Nie chcę dać mamie okruszków...

Przedszkolanka westchnęła i odłożyła zawiniątko na ławce obok nogi.

– Dobrze, Zuziu. Dobrze, kochanie.

– Dziękuję! – Dziecko pożegnało się szczerbatym uśmiechem i pozbawione wreszcie odpowiedzialności za pilnowanie połowy swojego podwieczorku, odbiegła w stronę popołudniowych atrakcji.

Dwa blond warkocze podskakiwały jak lejce na prowadzonym koniu.

W wyjątkowo skocznym humorze przemierzała plac zabaw. Gdyby siedzący na ławce obserwator w postaci przedszkolanki był nieco mniej rozproszony wertowaniem *Świata Kobiety*, ujrzałby w niej, tak wyraźną na tle reszty dzieciaków, niedającą się przeoczyć definicję niewinności. Zuzia wyglądała dzisiaj bowiem, jak chodzący przykład: *Wszystko, co uczynił, było dobre*.

– Nie możesz się z nami bawić!

Chłopcy zawsze byli wredni.

– Bo?

Najwredniejszy z chłopaków siedział na górze, z tyłkiem wypiętym w stronę szczytu zjeżdżalni. Kolejka jego giermków ustawiła się grzecznie w rzędzie przy drabince. Przywódca ścisnął metalową poręcz jak manetkę motocykla, przygotowany do zjazdu po gładkiej ślizgawce wyświechtanej tysiącem tyłków wcześniej.

– Bo tak powiedziałem!

Wypchnął biodra i zjechał. Wylądował obunóż na wydeptanym lądowaniu, jakby skakał z mamuciej skoczni.

Zuzia stała obok ślizgawki. Farba na metalowych przesłach widziała lepsze dni, na samej zjeżdżalni wytarta była do gołego metalu.

– Nie bądź taki. – Nie pojmowała, dlaczego przywłaszczyli sobie zjeżdżalnię, jakby należała tylko do nich. – Dlaczego nie mogę?

– Bo... – przeciągnął. – Dzisiaj jest Dzień Klubu Chłopaka! Ślizgawka jest dzisiaj tylko dla nas! – Reszta paczki za jego plecami zgodziła się, milcząco kiwając głowami.

Przedmówca był od nich wyższy i biegał szybciej, niż inne dzieciaki; kopał piłkę najmocniej i najcelniej w całym przedszkolu. Spełniał więc wszelkie wymagania do bycia poważanym dowódcą przedszkolnej grupy, prócz przewodzenia małemu Michasiowi, korpulentnemu chłopczkowi, który zamiast piłki, wolał lizać w kącie klej w sztyfcie.

– Czemu?

Ponownie nie dostała odpowiedzi. Następny z chłopców zjechał i szybko pobiegł z powrotem do kolejki. Rozkaz przedmówcy, choć niedosłowny, brzmiał jasno: *ŻADNYCH DZIEWCZYN*.

Nawet nie próbowała dalej się wyklócać. Nie miała zamiaru marnować słonecznego dnia na przepychanki z bandą półgłówków. Mama powtarzała wielokrotnie: *Jeśli ktoś jest dla ciebie niemiły, to znaczy, że czegoś ci zazdrości*. Nie wiedziała, czego dokładnie, ale najwidoczniej „czegoś”.

Odwróciła się i rozejrzała po placu zabaw. Przedszkolanki – wyłącznie kobiety – obsiadły ławkę we trójkę, co jakiś czas zerkając znad *Twojego Stylu*, żeby osiągnąć wzrokiem swoją grupę dzieci i przeliczyć je w locie.

Trzy panie – trzy grupy: starszaki, średniaki, maluchy. Rozmawiały, przerzucając strony kolorowych pisemek.

Mama czytała w domu podobne rzeczy. Na okładce była zawsze uśmiechnięta pani, a w środku czasopisma próbka kosmetyków w małej plastikowej saszetce.

Daj! krzyczała zaraz Zuzia, kiedy odchodziły od lady kiosku. Natychmiast nurkowała między kartkami, szukając wypukłości między stronami.

Najbardziej lubiła saszetki przyklejane na cienką warstwę gumowego kleju, który można było miętosić w palcach, drepcząc z przedszkola do domu. Odklejała kosmetyk i wręczała go mamie. *Prezent*, mówiła, wręczając mamie krem, bo mama, jak wszystkie dziewczyny, lubiła kosmetyki. Ciocia też je lubiła. Miała ich całą łazienkę.

Dziękuję, kochanie, mówiła zawsze, kiedy dostawała „prezent”. Czasami w nagrodę kupowała jej lizaka.

Ale bardziej niż słodycz cieszyło ją, że mogła jej coś dać, nawet jeśli za czasopismo ostatecznie płaciła sama mama.

Zawsze o takim marzyłam, powiedziała ostatnim razem obdarowana kremem w białej saszetce ze złotym ptaszkiem, czym poprawiła Zuzi humor na resztę dnia.

Zdarzało się, że w maminych gazetkach pojawiała się też podobna reklama z dorosłym chłopakiem. Po sylwetce poznawała, że przyklejona saszetka nadawała się wtedy dla taty. Zazwyczaj jednak w gazetkach mamy znajdowała kosmetyki dla dziewczyn.

Kilka koleżanek okupowało piaskownicę. Obsiadły ją jak gołębie studnię, do której wleciała kromka chleba. Jeszcze inne huśtały się, zginając i prostując nogi, próbując wzbic się wyżej i wyżej, jakby w pewnym momencie chciały wyskoczyć za ogrodzenie i pognać do domu.

Dalej, przy płocie, kilkoro chłopców stworzyło bramkę z konara dębu i czyjegós plecaka. Strzelali gole. Nieopodal kolejni próbowali z całej siły rozkręcić karuzelę, bo zupełnie nieświadomy popełnienia błędu życia, usiadł na niej gruby Tomek. Rozkręcili go tak, że miał całą czerwoną twarz. Na obiad były ziemniaki ze szpinakiem i smażone jajko.

Gdyby, podobnie jak wczoraj, panie kucharki ugotowały wątróbkę, Tomek najpewniej by zwymiotował. Zapach był tak intensywny, że jeszcze dziś rano dało się go wyczuć na korytarzu. Zupełnie, jakby smród smażonej krwi i zeszkłonej cebuli wsiąknął w ściany przedszkola.

Z przyjemniejszych aspektów, wczoraj jedna z dziewczyn przyniosła gumę i przynajmniej można było poskakać. Dziś żadna popołudniowa atrakcja nie przyciągała jednak uwagi Zuzi.

Miauczenie. Dalekie, ale przebiło się przez wszechobecne okrzyki dzieci,, które na ułamek sekundy ucichły.

Zuzia się wychyliła. Dźwięk dobiegał zza grubego dębu przy ogrodzeniu. Wyrastające nad ziemię korzenie w jednym miejscu wygięły kolorowe przęsła płotu.

Podążyła za odgłosem jak zahipnotyzowana syrenim śpiewem, na moment zapominając o obecnej w niej chęci zabawy.

Przy ogrodzeniu nie stały żadne atrakcje, choćby metalowy strażak. Nie bawiło się tu więc żadne dziecko.

Za grubym konarem – miejscem przeznaczonym do miłosnych wyznań i popełniania drobnych nielegalności, jak wymiana żetonów Star Wars – było pusto.

Ponownie miauknięcie. Ciche, ale wyraźnie: *Miau!*

Zuzia się zbliżyła. Zza grubego dębu, chwiejnym krokiem niewprawnych nóżek, wyłonił się kociak niewiele większy niż dwie pięści złożone razem. Kociak był filigranowy, jakby jeszcze zbyt drobny na ten świat. Maleństwo wyglądało, jakby pięć minut temu nauczyło się chodzić. Trzęsło nóżkami, machając przy tym nierówno krótkim, twardym ogonkiem. Miało główkę nieproporcjonalnie większą od reszty ciała i ledwie balansowało na swoich chudych, siwych nóżkach.

– Kotek...

Szara sierść w czarne paski błyszcząca w południowym świetle. Kociak miał jedną łapkę białą, jakby wdepnął w otwartą plakatówkę, i wodniste, błękitne oczka patrzące niewinnie, jakby jeszcze przed chwilą oglądały Stwórcę, ale ułomne, nie umiały jeszcze o tym opowiedzieć.

Zauroczona Zuzia wyciągnęła rączki.

– Śliczna, prawda?

Przystanęła z wyprostowanymi ramionami.

Spojrzała w górę. Osłoniła oczy osłepiona słońcem znad dachu przedszkola.

Mężczyzna na pewno był stary. Połowa włosów, jakie nadal miał, była siwa. Stał za drzewem, opierając łokcie o płot. Nie była pewna, ale chyba się uśmiechał.

– To dziewczynka? – Przyklęknęła i przejechała rączką po miękkiej główce. To, że kotek okazał się kotką, znaczyło teraz bardzo wiele.

– Znajdzka – powiedział mężczyzna oparty łokciami o płot. – Uratowałem ją.

– Uratował ją pan? – Zwierzątko weszło między nogi Zuzi, ocierając się uszami o jej białe podkolanówki. – Czemu?

Mężczyzna westchnął ciężko. Słońce nad dachem przedszkola na moment skryło się za chmurą. Teraz dopiero zobaczyła, jak *naprawdę* był stary: miał pomarszczoną, spaloną słońcem skórę i kurze łapki dookoła oczu. Na wyłysiałym czole nosił szeroką, ciemną plamę. Pomyślała, że pan Bóg, gdy akurat go tworzył, niechcący rozlał mu na głowę kakao.

– Powiedzmy po prostu, że świat jest pełen złych ludzi, dzieciaczku.

Wychylił się przez ogrodzenie i ujął kotka pod boki. Zuzia przestąpiła krok w stronę zwierzątka.

– Tacy ludzie jak ja muszą ocalić te małe stworzonka.

– Czemu?

– Czemu? – powtórzył. – Bo same nie dadzą sobie rady, dzieciaczku. – Przyłożył małą, kocią główkę do piersi. Słodki czworonóg niemal natychmiast przymknął oczka. Sterczące szare uszka położyły się na kieszeni wędkarskiej kamizelki.

– Czemu?

Mimo, że kociak prawie całkiem zamknął już oczka, nie mogła przestać się im przypatrywać.

– Widzisz, dzieciaczku – westchnął.

Kociak domknął oczka, dopiero gdy mężczyzna podrapał go lekko za uchem.

– Jesteś jeszcze malutka. Nie potrzebujesz wiedzieć takich rzeczy. Świat dorosłych jest dla dorosłych. Póki możesz być dzieciakiem, bądź nim. – Spojrzał na resztę dzieciaków rozbieganych po placu zabaw. Uniósł lekko brodę. – Zmykaj do kolegów i nie przejmuj się tym, co powiedziałem.

– Nie! – zaprotestowała natychmiast. – Ja też chcę im pomóc! A to wcale nie moi koledzy! Dokuczają mi i są... Gupi! – powiedziała, jakby chciała, żeby ją usłyszeli.

– Dziewczyny też?

– Rano śmiały się z moich skarpet...

Mężczyzna się uśmiechnął. Może to światło akurat tak padało, ale zdało jej się, że mężczyzna ma złoty ząb.

– To pewnie dlatego, że ci zazdroszczą – powiedział.

Podniosła wzrok.

– Mama też tak mówi! A powie mi pan, czemu kotki potrzebują pomocy? Ten wygląda przecież na zdrowego! – Wskazała na kocię różowym paluszkiem.

Mężczyzna, nieprzekonany, pokręcił głową.

– To nie takie proste, dzieciaczku.

– Chcę wiedzieć!

Zaśmiał się przez nos.

– Ile masz lat, dziewczynko?

Momentalnie wystawiła pięć palców jednej ręki i jeden, zgięty do połowy, w drugiej.

– Pięć i pół! Jestem już duży! – Wyprostowała się, jakby dodatkowe pół centymetra wzrostu miało dodać jej dojrzałości.

– W takim razie bardzo panią przepraszam! Nie wiedziałem, że jest już pani taka duża! Ale dobrze. Niech będzie. – Po drugiej stronie placu przedszkolanka krzyknęła na kogoś, żeby nie zwisał ze strażaka głową w dół. – Jak masz na imię, dzieciaczku? – To mówiąc, postawił kotka z powrotem przy jej nogach.

– Zuzia! – Podniosła kociaka, jak Rafiki młodego Króla Lwa.

– Dobrze, niech tak będzie. W takim razie, zaczekasz tu chwilkę, Zuziu?

– Dobrze! – powiedziała radośnie i przytuliła kocię do szyi.

– Ratowanie kociaków to bardzo ciężka praca. Myślisz, że sobie poradzisz?

– Tak! – Kotek obwąchał jej rumiany policzek suchym noskiem. – A czy będę mogła zabrać te, które uratuję?

– Oczywiście – powiedział. – Jesteś już przecież duża, prawda?

To powiedziawszy odszedł kawałek powolnym, starym krokiem. Miał nieco kaczy, rozbujany chód. Dochodząc do furtki nieopodal, oparł się o ogrodzenie, drugą ręką trzymając się za krzyż.

Chwilę później Zuzia obserwowała już, jak przedszkolanka, widząc, że jej macha, odkłada kolorowy magazyn i zbliża się do płotu. Nie słyszała dokładnie, o czym rozmawiali, ale usłyszała, jak przedszkolanka nagle spytała głośno:

– Zuziu! Masz coś do zabrania z szafki? Buty? Worek?

Była środa. Zajęcia ze sprawności fizycznej mieli w piątki. Przyszła dzisiaj tak, jak mama ubrała ją rano w przedpokoju.

Pokręciła głową.

– Dostałaś kotka? – spytała przedszkolanka, przechodząc obok. – Suuuper! Pójdiesz z dziadkiem, Zuzia?

Zajęta przytulaniem małego futrzaka pokiwała tylko głową. Pan przy płocie podziękował grzecznym skinieniem, na jakie – pomyślała w duchu – żaden z chłopaków nie zdobędzie się nawet, kiedy będą mieli po sto pięćdziesiąt lat.

Zuzia pokiwała głową.

Mężczyzna wystawił dłoń przez płot. Przedszkolanka uśmiechnęła się i podała mu rękę. Pewnie opowiedział jej o ratowaniu kotków, dlatego była dla niego taka miła – pomyślała.

Z kocięciem na ręku wyszli główną furtką, machając paniom przedszkolankom na do widzenia. Panie odmachwały i wróciły do czytania swoich pisemek. Chwilę później szli już z miłym, starszym panem na ratunek kociętom, schodząc w dół ulicą prowadzącą do przedszkola.

– Gdzie są? – spytała, poprawiając kotka na ramieniu. Nowe buty obtarły jej palce. Były ładne, ale niewygodne. Mama mówiła, że się rozmyją... rozbyją... W każdym razie, że będą niebawem nieco wygodniejsze. Musiała tylko trochę w nich pochodzić. – Bołą mnie nogi.

– Już niedaleko, dzieciaczku.

Szli częścią miasta, której nie знаła. Za rzeką skręcili w lewo. Gdy odbierała ją mama i szli razem do domu, w tym miejscu skręcały zawsze w prawo.

– Są przy rzece – odparł mężczyzna. – Dobrze ją trzymasz, dzieciaczku?

Na wszelki wypadek poprawiła chwyt. Główka kotki nadal spoczywała grzecznie na jej obojczyku.

– Dlaczego przy rzece?

– Na pewno chcesz wiedzieć, dzieciaczku?

– Tak – odparła. – Muszę wiedzieć, jak ratować kotki.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Masz rację, dzieciaczku. Skoro mamy ratować je razem, musisz wiedzieć... Posłuchaj, dzieciaczku – westchnął. – Są na tym świecie ludzie, którzy bardzo nie chcą, żeby kociaki dorastały i żyły. Kocięta to cudowne stworzonka, ale nie umieją dobrze pływać. Pewnie o tym wiesz.

– Wiem! – odparła dumna, że posiadała już tę część wiedzy dorosłych. – Kotki nie lubią wody! Każdy o tym wie! – Pamiętała przecież odcinek Tom&Jerry, w którym zły człowiek wrzucił do wody związane w worku cztery młode kociaki. Pamiętała, że trafiły do

nieba, każde z aureolką. Na szczęście uwolniły się z parcianego więzienia i przebiegły wprost przez bramę w chmurach.

– Zgadza się, dzieciaczku! Jesteś bardzo mądra, jak na swój wiek.

Zuzia poprawiła kocię w ramionach, gdy nóżka zawisła jej luźno.

– Pójdziemy tam, gdzie je znalazłem. Chyba nadal słyszałem miauczenie. Tam, pod mostem, ciągną się rury. Jest dosyć nisko. Może jednemu z nich udało się schronić i na nią wejść. A ja jestem za stary, żeby się tak schylić. Ale z pomocnikiem takim jak ty musi się udać!

Wypełniło ją nagle uczucie podobne do tego, kiedy dawała mamie kosmetyk: szczęście, że będzie mogła się komuś przysłużyć. Kto wie? Może zostanie nawet bohaterką podobną do Czarodziejki z Księżyca?

Na tę myśl uśmiechnęła się pod nosem. Nie mogła pozwolić sobie jednak na więcej ekscytacji, nie chciała zbudzić kotki.

Odgłos wody stawał się coraz bardziej wyraźny, w miarę jak zbliżali się do mostu. Rzeka musiała być już bardzo blisko.

Słońce górowało nad wysokimi blokami, zacinając chodnik. Ulice były o tej porze prawie puste. Prócz półślepych emerytek świat był nadal w pracy; zamknięci w małych biurach ludzie byli o tej porze zbyt zajęci, żeby wypatrzeć za oknem faceta prowadzącego małą dziewczynkę w stronę zielonej rzeki.

A nawet jeśli, to co? Zwyczajny dziadek ze zwyczajną wnuczką, zmierzający razem nad zwyczajną rzekę, w zwyczajny dzień, pokarmić zwyczajne, kłodzkie kaczki. Zgoda, można by coś powiedzieć, gdyby mieli zamiar karmić je chlebem, bo ptaki mogłyby się zadławić, ale nic ponadto. Ktoś miałby wezwać straż miejską, bo emeryt z wnuczką karmili kaczki nieodpowiednim pokarmem? Litości...

Zeszli wąskim zboczem, dochodząc pod most na młynówce. Rzeka miała tu wyraźny, brzydki zapach, a wilgotny brzeg moczył podeszwy białych lakierków dziewczynki.

– To tutaj – powiedział mężczyzna, przystając. Wychylił się przez most, osłaniając oczy.

– Widzi je pan?

Starzec wskazał w górę rzeki.

– Słyszysz je? – spytał. – O, tam! Miauczą! Znaczą, że gdzieś tam są...

Zuzia próbowała dosłuchać się choćby miauknięcia, ale szum wody był zbyt głośny. Do tego rzeka miała nieprzyjemny zapach. Pachniała trochę jak kompakt... kompot... – jak ta

duża skrzynia za domem babci, do której nosiło się obierki z ziemniaków i łupiny od jajek. Podobnie pachniało morze, wyrzucając na brzeg glony.

Zbliżyła się do brzegu. Czubki białych bucików prawie dotykały wody. Spróbowała zajrzeć głębiej pod most. Z kociakiem nadal przy piersi, zrobiła to delikatnie, dbając teraz o jego bezpieczeństwo bardziej, niż o swoje.

– Nie widzę ich, proszę pana! – Nurt rzeki był tu głośny, do tego most jakby tworzył echo. – Nie słyszę ich!

Mężczyzna przeciągnął dłonią po resztkę siwych włosów i skalpie z szerokim, ciemnym znamieniem. Przykucnął, zniżając się do jej poziomu. Pogłaskał kocię po główce swoim dużym kciukiem. Przejął zwierzę, łapiąc je pod pachy. Zuzia pomyślała, że zrobił tak, by miała wolne ręce. Ratowanie kociaków wymagało przecież obu sprawnych rąk.

– To straszny świat, w którym przyszło nam żyć – odezwał się, przytykając czoło do czoła kocięcia. – Straszny, straszny świat. Dlatego kociaczki trzeba przed nim chronić. Całemu złu można zapobiec, ale trzeba zrobić to zawczasu. Najlepiej odpowiednio wcześniej. – Wyciągnął dłoń w stronę Zuzi i pogłaskał ją po jej czystych blond włosach, jak przed chwilą jeszcze głaskał miękką sierść czworonoga. – Trzeba was od niego ocalić, kociaczku.

Silna dłoń szarpnęła za warkocze.

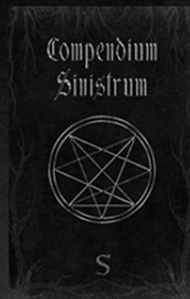
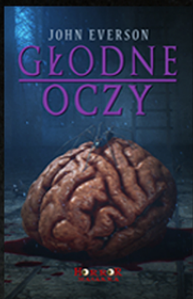
Kocię w jego ramionach ziewnęło, niewzruszone nagłym wstrząsem. Do połowy otworzyło lewe oczko, na moment zaciekawione bulgotaniem wkoło zanurzonej dłoni.

Bąbelki wokoło zaciśniętej dłoni przestały wybijać się nad taflę. Gdy przestało trząść, kocię na powrót przymknęło oczy i wróciło do drzemki.

Mężczyzna wyjął rękę z rzeki i wytarł ją w kieszeń sztruksów. Z kocięciem w ramionach wspiął się z powrotem po zboczu schodzącym do rzeki. Skręcił w prawo, drogą za stadion, znikając na zadrzewionej ścieżce ciągnącej się wzdłuż promenady przy rzece.

Miasto było pełne kociąt; pełne mostów i złych ludzi. A od zła tego świata dało się je uchronić tylko w jeden sposób. Potrzebowało kogoś, kto uchroni je zawczasu – wybawiciela.

Wybawiciela kociaków.



GRAFIKA | OKŁADKI | PLAKATY

✉ jo.widomska@gmail.com

📘 By Widomska 📷 by_widomska

